ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 10 6.III. 1937 R.



JANINA SOKOŁOWSKA UTALENTOWANA ŚPIEWACZKA Z POWODZENIEM WYSTĘPUJE W KRAKOWIE W TEATRZE IM. J. SŁOWACKIEGO

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXII Nr. 10 6.III 1937

L. CHRZANOWSKI

OBYWATELE CZY PRZESTĘPCY?

Zacznijmy od stwierdzenia, że jest istotna poprawa w stosunkach pomiędzy obywatelem płatnikiem a urzędnikiem poborcą skarbowym. Są takie objawy — jak ten, o którym pisaliśmy w ciągu roku — kiedy to naczelnik urzędu skarbowego *zaprosił* w niedzielę po południu płatników jednej z gmin na zebranie, gdzie dawał wyjaśnienia we wszelkich niezrozumiałych lub niejasnych sprawach. Gdzie wypytywał ich, co w urzędowaniu jest według nich uciążliwe, starając się znaleźć system ułatwiający płatnikowi wpłacanie podatków, nie zaleganie z nimi.

Nie wiem, czy ta metoda kontaktu z płatnikami znalazła uznanie „wyżej", czy ją stosowano szerzej. Jest to jednak metoda znakomita. Iluż naszych wiejskich płatników zalega przez inercję, opieszałość, a często nie zdając sobie sprawy, co ich kosztują kary. Przecież rośnie nam miljon analfabetów, dla których nie stało szkół. A iluż jest z pośród tych, których w tym błogim stanie Polska zastała.

System więc popularnych pogawędek, choćby raz na kwartał, mógł być znakomity.

Ale na tym stosunku, stanowiącym bądź co bądź, o regularnym funkcjonowaniu państwa, są jeszcze liczne i poważne skazy. Mówili o nich w czasie ostatniej debaty sejmowej niektórzy posłowie.

Mówili niewątpliwie rzeczy sprawdzone i niesłychanie bolesne.

Mówili często to, co się opowiada z ust do ust, o czym wszyscy wiedzą, na co się uskarżają. Bo taki jest już stan rzeczy, że niech się gdzieś zejdzie 3 — 5 osób, i niech ktoś niebacznie poruszy temat opłacania podatków, to konwersacja nie utknie ani na chwilę. Każdy ma swoją „lepszą" perypetję.

W dyskusji sejmowej poseł Szalewicz, krytykując działalność urzędów skarbowych, wskazał na jedną zasadniczą bolączkę.

Urzędy skarbowe — mówił poseł Szalewicz — dopatrują się przy wymiarze podatku przestępcy w każdym płatniku.

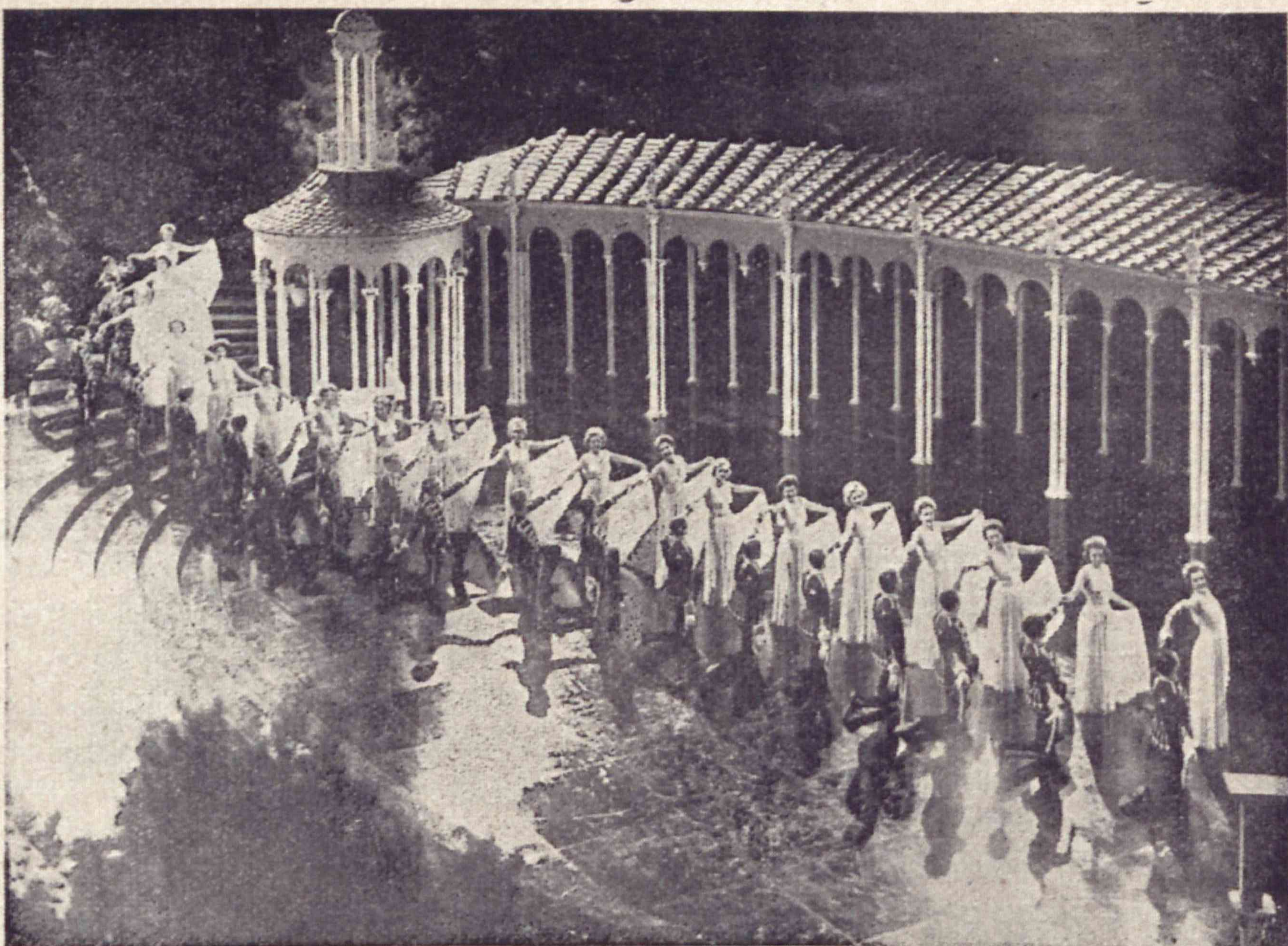
Tak bywa istotnie często — metoda patrzenia z ukosa na 30 miljonów obywateli przez niższych funkcjonarjuszy urzędów jest niestety dość rozpowszechniona. W rozmowie, dyskusji, argumentacji obywatel musi *dowieść,* że nie jest przestępcą.

Ciężkie, badawcze, śledcze, obrażające spojrzenie spoczywa na obywatelu. Zamiłowanie detektywne, które ponoć ma każdy człowiek, z łatwością znajduje w ten sposób zaspokojenie. W zarzutach swoich poseł Szalewicz stwierdza, że możliwość dochodzenia sprawiedliwości przez płatnika w praktyce jest bardzo ograniczona, gdyż zdarza się, że po złożeniu skargi następują represje ze strony urzędu skarbowego. Jeżeli do tego dodamy — jak mówił poseł Szalewicz, że oskarżony naczelnik urzędu skarbowego awansuje, a płatnik po skardze swej otrzymuje większy wymiar, to nie można się dziwić, że płatnik zmuszony jest zrezygnować ze swych uprawnień.

Ale ta rezygnacja — jest wielce ujemna dla państwa. Bo rezygnujący płatnik czyni to *z poczuciem krzywdy,* jaka go spotkała. Staje się siewcą niezadowolenia, utyskuje, wyklina, w momentach jaskrawszych burzy się. Nie leży w interesie państwa fabrykowanie niezadowolonych obywateli!

W tej dziedzinie urzędy skarbowe mogą wiele przyczynić się do podnoszenia autorytetu państwa i mogą wiele... zepsuć. Bo obywatel-analfabeta nie rozumie dlaczego musi płacić za upomnienia skarbowe, przypominające o racie *już zapłaconej,* dlaczego mogą mu proponować opłacenie podatku zapłaconego, dlaczego musi wykazywać się, że nie zasługuje na miano przestępcy. Tego obywatel - analfabeta nie rozumie. A obywatel-„alfabeta" tego... też nie rozumie.

PRZED OBJEKTYWEM „ŚWIATA"





Zdjęcie powyżej:

Czardasz węgierski odtańczony w Londynie, jako jedna ze scen filmu „Mayfair-Melodien".

Zdjęcie obok:

Wisła ruszyła. Widok z pod mostu Poniatowskiego.

Zdjęcie obok:

Milicjanci hiszpańscy rekwirują kukurydzę w jednej z wiosek pod Madrytem.



POŁÓW PEREŁ



Improwizujmy!

Kto w Polsce stykał się z tak zwaną propagandą, zwłaszcza zagraniczną — ten aż nadto dobrze wie, jaki tam panuje brak metody. Brak systematycznej pracy. Brak przemyślenia i przewidywania na dalszą metę.

Wystawa w stolicy świata?

Mamy czas! Niech inne narody, o których z przekąsem mówimy „tępaki" — niech te inne narody przygotowują się do niej latami. Niech sobie tam po staremu rozpisują konkursy, uskuteczniają eliminacje artystów, aby odsiać plewy a sprezentować samo najczystsze ziarno.

My?

My improwizujemy.

Ze zmiennem powodzeniem, przyznać trzeba. Czasem się nawet — uda. Dzięki nadludzkim wysiłkom jednostek i ofiarnej pracy artystów, gnanych na finiszu, jak sztucznie dopingowane konie wyścigowe.

Słusznie też oponują wreszcie przeciwko zgubnemu systemowi — sami zainteresowani.

Gromy rzucają — artyści. Wiktor Podoski podkreśla z oburzeniem, że zdecydowawszy udział Polski we wszechświatowej wystawie Paryskiej już w roku 1933 — znając ostateczny termin zgłaszania pawilonów w dniu 15 lipca 1936 roku— Komitet Organizacyjny ogłosił konkurs na projekt pawilonu... w dniu 15 czerwca 1936 r.

Tak — na miesiąc przed terminem...

Wszystkie—dosłownie wszystkie prace artystyczne w owym pawilonie zaczęte są za późno — poprostu już po trzecim dzwonku. O poważnych konkursach ani mowy. Kleci się na chybcika, wśród swoich, dbając tylko o to aby jakoś na czas wydążyć. A gdy w Klubie Bloku Artystów Polskich komisarz wystawy spotkał się z powyższymi zarzutami — rozkładał bezradnie ramiona, nie probował nawet usprawiedliwiać tej metody, tylko mówił: „Macie najzupełniejszą rację, moi kochani ja się z wami zgadzam, ale co miałem robić, kiedy nie miałem innego wyjścia tj. czasu na inne, lepsze rozwiązanie sprawy".

Co miał robić? Może poprostu nie podejmować się tak... dziwnego zadania, które na jego barki zepchnięto bez żadnych planowych przygotowań.

„Zamiast załatwiać wszystko pocichu między sobą, należało jeszcze przed trzema laty przystąpić do propagandy wystawy i... wciągnąć w orbitę zainteresowań wystawą paryską najliczniejsze rzesze twórców i konsumentów sztuki" — pisze rozumnie Podoski.

Ba — tylko że to byłoby w oczywistej sprzeczności z naszą psychiką. Z charakterem narodowym polaków.

My uznajemy przecież tylko... improwizację!

Nietykalność prasowa suwerenów

Niektórzy nasi członkowie parlamentu, kapeńkę obrażeni na prasę za zbyt bezceremonjalne traktowanie, wysuwają projekt ograniczenia swobody oceny przemówień ze strony sprawozdawców parlamentarnych.

Rozprawia się z tym zabawnym pomysłem Niedziałkowski w „Robotniku" i przypomina, że pomysł to — nie nowy. Istnieją już dwa przykłady analogiczne.

Raz we Francji za Napoleona III — gdzie nic z tego nie wyszło i szybko dano temu spokój. Drugi raz — w Rosji carskiej.

No — tam chyba projekt taki został wprowadzony w czyn?

Aha, właśnie! W okresie III Dumy Ministerstwo Spraw Wewnętrznych—a więc, mój Boże, potęga— proponowało, by sprawozdania z posiedzeń Dumy musiały być podawane bez żadnych komentarzy.

W Rosji ówczesnej był jednak jeden człowiek niegłupi.

Nazywał się Stołypin.

Na oryginale wniosku ministerjalnego napisał własnoręcznie: „ABSURD".

Ambasadorzy i artyści

Kuchmistrze francuscy — to persony niemałego znaczenia w kraju, gdzie kultura sztuki kulinarnej stoi najwyżej na świecie. Kuchmistrze francuscy — to artyści! A jednocześnie... ambasadorzy. No tak — ambasadorzy smaku francuskiego, rozproszeni nieoficjalnie po ważnych placówkach. Wiadomo z historji, że Karol V stale trzymał kuchmistrzów z Francji. Riquette, kuchmistrz Napoleona, w drodze wielkiego ustępstwa „odstąpiony" został carowi rosyjskiemu. Poupart — mistrz współczesny, rządzi po dyktatorsku w najliberalniejszym kraju świata — mianowicie w Anglji. Jest kuchmistrzem dworu królewskiego.

„Rządzi po dyktatorsku"... Otóż to!

Kuchmistrze nie chcą być skrępowani. Kpią sobie z nowego ustawodawstwa społecznego, z godzin pracy, z nakazów wersalskich manjer wobec kuchcików — i ze wszystkich wogóle nowomodnych michałków.

Oni — panują.

Oni — tworzą.

Oni — wymagają atmosfery zupełnej niezależności i swobody.

To też gdy ostatnio rząd pana Bluma postanowił wejrzeć bliżej w tę sprawę i chciał rygorystycznie przeprowadzić reformy społeczne w zawodzie kuchmistrzowskim — poszedł po całej Francji pomruk niezadowolenia.

„Nie tykać kuchmistrzów"!

„Zostawić ich w spokoju. Oni potrzebują wolności".

Jak wszyscy artyści.

I zdaje się, że nie pan Blum zwycięży — ale władcy rondla i patelni...

A możeby tak?

Bardzo dużo — i nie bez racji — mówi się teraz o konieczności zmiany naszej ordynacji wyborczej. Oczywiście to, co jest — utrzymać się nadal nie może. Ten żart — nie był nawet tynfa wart — nikt go już zresztą nie broni. Nawet ci, co go wymyślili.

Więc rady. Więc namysły. Jak zmienić? I co zmienić?

Nie od rzeczy wydaje się projekt, zamieszczony w ostatnim numerze „Buntu Młodych". Wśród innych reform wspomina się tam o

tej, którą w całym szeregu stanów wprowadziła już najdemokratyczniejsza republika na świecie, mianowicie Stany Zjednoczone. Chodziłoby o to: wyborca musi znać— język polski. Tylko tyle. W słowie i piśmie.

Niedyskretne pytania

Jeden z najwyższych dygnitarzy niemieckich. Lutze, wybudował sobie dla własnej wygody własne lotnisko prywatne. Kosztowało to 60 tysięcy marek. Niemcy są wprawdzie bardzo zdyscyplinowani, ale jakoś tego wypadku strawić nie mogli. Pewnej nocy na parkanie otaczającym lotnisko, nieznana ręka wypisała olbrzymiemi literami pytanie:

„Lutze, skąd masz te 60.000?"

Wściekły dygnitarz postanowił odnaleźć sprawcę przestępstwa. Naznaczył nagrodę: tysiąc marek.

Nazajutrz rano widniał na parkanie nowy olbrzymi napis:

„Lutze, skąd masz te 61.000?"

Panie generale, dziękujemy!

Generał Żeligowski jest nadal w Sejmie, chwała Bogu. I nadal z równą szczerością wypowiada się o zasadniczych bolączkach naszego życia publicznego. W dyskusji nad budżetem, pan generał zabrał głos, aby powiedzieć, co myśli o naszej administracji.

Stwierdził, że przypomina mu ona — czasy rosyjskie, niestety. (Niechby się z tą uwagą odezwał zwykły szary człowiek w miejscu publicznem, gotowi go pociągnąć do srogiej odpowiedzialności za „obrazę władzy"! Na szczęście — na trybunie sejmowej mówić jeszcze wolno. Z tej wolności, zresztą, jak wiadomo, nie każdy z posłów dość odważnie korzysta).

Wracając do generała Żeligowskiego, analogje które mu się nasuwały, wyraził tak:

„Był w Rosji taki uprzywilejowany sztab generalny. Kiedy się pytano oficera sztabu generalnego: Co pan umie ? — to on odpowiadał, że wszystko umie. „Niech pan mnie dziś mianuje gubernatorem, będę najlepszym gubernatorem. Jutro będę arcybiskupem Finlandji, a pojutrze będę dowodził flotą i jeszcze wygram bitwę morską".

Tak opowiadał generał Żeligowski wśród niepohamowanej wesołości posłów. Poczem dodał w formie konkluzji: „Mnie się zdaje, że i u nas, może nie w takim stopniu, tkwi podobne przekonanie. Każdy myśli, że od niego zaczyna się historja".

Panie generale — dziękujemy... Bóg zapłać za mądre słowa.

Kosztowna zabawa

„Słowo Pomorskie" podaje taką statystykę: w 36 r. zostało skonfiskowane 19 razy; z tego prokurator umorzył „z braku cech przestępstwa" 8 wypadków, sąd anulował konfiskatę w 4 wypadkach, pozostałe są jeszcze w toku rozpatrywania. Skarb państwa wypłacił „Słowu Pomorskiemu" tytułem zwrotu strat wskutek nieuzasadnionych konfiskat 6.300 zł., należy się jeszcze 2.500.

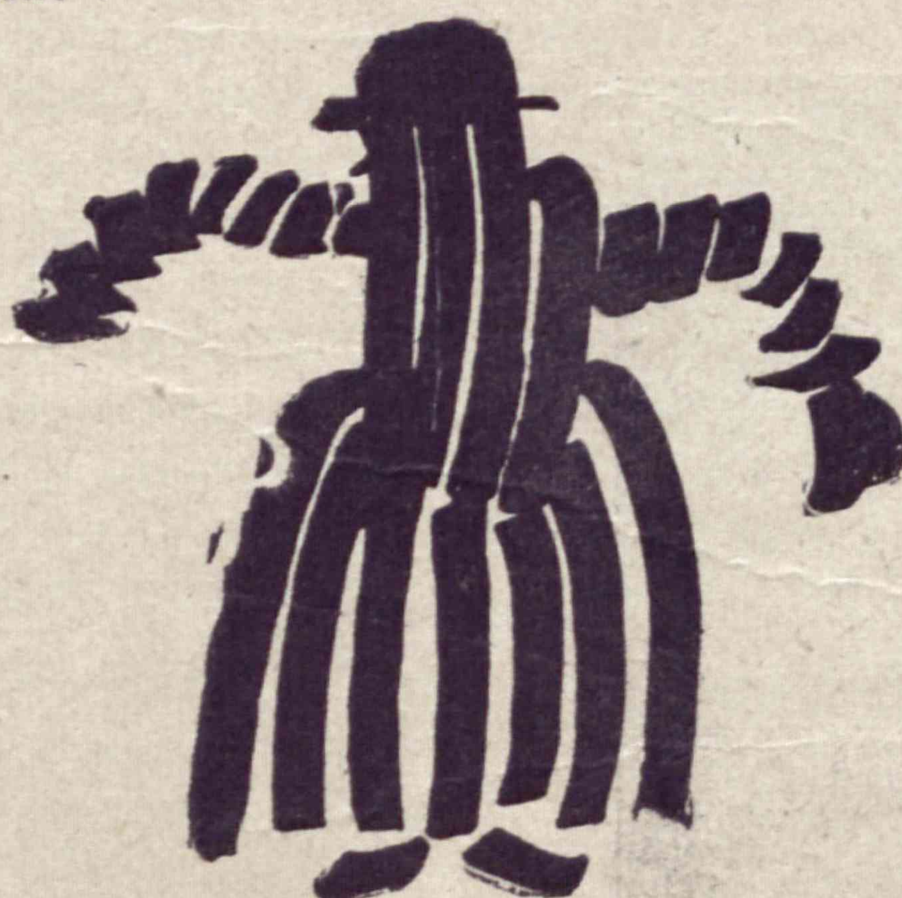
To są nietylko zmarnowane bezmyślnie podatkowe pieniądze. Więcej niż o tę stratę finansową chodzi o co innego: o utratę autorytetu władzy.

Dom obłąkanych

Trudno świat nazwać inaczej, gdy się czyta zestawienie, które zamieściła w jednym z ostatnich numerów „Epoka".

„Według danych statystycznych Komitetu do walki z kryzysem przy Lidze Narodów w roku 1936 zmarło z głodu 2 miljony 400 tysięcy ludzi, a 1 miljon 200 tysięcy odebrało sobie życie z nędzy, co czyni 3 miljony 600 tysięcy ofiar.

W ciągu r. 1936 zniszczono na świecie produktów dla utrzymania cen rynkowych: cukru 2.500 tys. kg., zboża 568 tys. wagonów, ryżu 114 tys. wagonów, kawy 267 tys. wagonów, konserw mięsnych 600 tys. cetnarów i t. d. Ogółem zniszczono 8 i pół miljarda kg. artykułów spożywczych. Licząc, że człowiek spożywa rocznie 980 kg. powyższych produktów, wystarczyłoby artykułów zniszczonych w ciągu jednego roku na utrzymanie 3 miljonów 600 tys. ludzi w ciągu trzech lat".



Rekordy szybkości

Nie pobił go w tych dniach żaden sportowiec polski. Pobiła go— blacha.

Nie, nie bredzę. Mówię — o cenach. Jak czytamy w jednym z dzienników, dnia 19 lutego r. b. cena blachy cynkowej trzy razy skoczyła w górę: o godz. 12-ej kilo blachy kosztowało 1 zł. 3 grosze, W trzy godziny potem — już 1 zł. 10 gr., a o 5-ej popoł. 1 zł. 15 gr. W poniedziałek blacha cynkowa skoczyła już na 1 zł. 20 gr. za kilo, a we wtorek na 1 zł. 25 groszy.

To się nazywa rekord wysokości... w skokach o tyczce.

Niestety — kupujący by wolał, aby to były biegi... z przeszkodami.

Nie wszystko drożeje

Niektóre artykuły potaniały w ostatnich czasach. Wprawdzie nie u nas — ale w Stanach Zjednoczonych. Potaniały ogromnie — rozwody i śluby. Może dlatego, że stały się artykułem masowym. Artykułem „pierwszej potrzeby".

Jak podaje prasa, słynne miasteczko Reno, gdzie można przyjechać rano, rozwieść się w południe, a wziąć nowy ślub w porze podwieczorku — słynne to i miłe miasteczko, wprowadziło wobec ogromnej frekwencji... taryfę ulgową. Ślub kosztuje tam teraz tylko — 3 centy.

Istnieje taka bujda sceniczna, dość w gruncie rzeczy wulgarna. Nazywa się — „Opera za trzy grosze"...

Jasnowłosa bandytka

Grasowała młoda, elegancka, czarno ubrana — po nocnych lokalach Brodwayu w Nowym Jorku. Z rewolwerem w ręku — nad ranem, gdy personel już był nieco zmęczony — zbliżała się znienacka do kasjera przykładała mu lufę do skroni, zręcznym ruchem porywała gotówkę, i momentalnie znikała czekającą przed lokalem taksówką.

Złapano ją wreszcie.

Okazało się, że ów groźny rewolwer — to była dziecinna zabawka, nabita... kapiszonami. Takiemi papierowemi kapiszonami, z których każdy z nas strzelał, kiedy miał siedem lat.

Panowie kasjerzy nowojorscy zostali troszeczkę ośmieszeni.

Wiadomo — strach ma wielkie oczy...

Uparty nurek.

J. J. PEŁCZYŃSKI

BIERNA OPOZYCJA — ZAMIAST REWOLUCJI

(Od naszego korespondenta, pocztą lotniczą)

Bombaj, 17.II.1937.

Wybory zbliżają się ku końcowi. Jak przewidywałem w ostatniej mojej korespondencji, Congress Party odnosi wszędzie poważne zwycięstwa. W niektórych prowincjach, zwycięstwo nie było nawet oczekiwane.Central Provinces, Sind, United Provinces, Bombay Presidency i inne dały partji Kongresu albo większość absolutną, albo pierwsze miejsce między partjami walczącemi w wyborach.

Jest to zwycięstwo nielada. Konsekwencje jego mogą być ważkie w historji Indji. Kwestja do rozwiązania, po zakończonych wyborach sprowadza się do pytania: czy Congress Party, tam gdzie ma zapewnioną większość absolutną zechce wziąć odpowiedzialność i czy wyznaczy swój rząd prowincjonalny? Czy też zgodnie z zapowiedziami Jawaharlal Nehru, prezydenta partji Kongresu, ze względu na to, że Konstytucja Indyjska, uchwalona przez Round Table Conference, nie była przyjęta przez delegatów narodu Indyjskiego, uzna współpracę za niewłaściwą. Głównym zarzutem przeciw Konferencji jest fakt, iż nie daje ona finalnej decyzji wybrańcom narodu, lecz pozostawia ostateczną decyzję w rękach vice-króla, a więc rządu Brytyjskiego.

Gdyby tak się stało, to mniejszość w sejmikach prowincjonalnych utworzyłaby rząd, większość zaś, każdą akcję rządu paraliżowała. Sytuacja dość paradoksalna. Historja jednak uczy, że chęć ujęcia władzy w swe ręce, jest w ludziach tak wielka, że żadne opinje, wytyczne, poglądy i przekonania nie są zdolne oprzeć się pokusie. Czy przykład Kongresu Indyjskiego, kraju wielkich filozofów, ludzi o niesłychanej pogardzie do życia, do używania dóbr doczesnych, znanej już z ostatnich rozruchów „biernej opozycji" jako gotowych tysiącami kłaść się pod nóż, dla wytkniętych ideałów — będzie przykładem odrębnym? Czy też szybko zapomni się o hasłach a władzę w drżące ręce uchwycą przedstawiciele ludu, którzy takiej okazji jeszcze w życiu nie znali... Niedaleka przyszłość pokaże.

Warto słów kilka poświęcić samej technice wyborczej i nastrojom. Wybory w Indjach odbywają się inaczej niż w krajach europejskich. Większość wyborców przecież tutaj ani pisać ani czytać nie umie. Jak rozpoznać kandydata, na którego wyborca taki ma głosować? Ażeby demokratycznemu, powszechnemu głosowaniu stało się jednak zadość, wymyślono, tak jak to dzieci czynią w zabawie, sposób rozpoznawania kandydatów przez specjalne znaki, czy rysunki: kandydat Nariman, jako godło swoje wybrał sobie postać lwa, Nagindas Tribhuvandas — tygrysa, Sadashiv Kanoi Patil — okręt, Sankarao Malharao Pestonji—kotwicę i t. d. Na zwierzęta jednak: lwa, tygrysa i słonia — największe było zapotrzebowanie... Wyborca taki dostaje więc kartę z nazwiskami kandydatów, których przeczytać nie umie, ani po angielsku, ani po hindusku, ani w gujurati, ani w 250 innych vernacular narzeczach półwyspu Indyjskiego, ale obok nazwisk kandydata upatrzonego, po wysłuchaniu gorących przemówień na wiecach przedwyborczych, rozpoznać on potrafi postać świętej krowy, czy ryczącego lwa, i obok niego, na znak swej wszechpotężnej woli wyborcy nieprzymuszenie postawi gzygzak w rodzaju krzyżyka... W ten sposób wola ludu otrzymała zadośćuczynienie. Zdrowy rozsądek większości objawił swe dążenie.

Po raz pierwszy także w historji, głosowały kobiety. Zauważyć należy, że 98% kobiet w Indjach to analfabetki. Tradycja nie pozwalała kobiecie indyjskiej, która życie swe spędza w t. zw. „purdah", t. j. coś w rodzaju domowego haremu, a ściślej mówiąc miejsca odosobnienia dla kobiet — uczyć się pisać lub czytać, gdyż sprzecznem by to było z zasadami dobrego doglądania i pieczołowitości nad ogniskiem domowym i wielkiej czołobitności dla domowego boga: męża. Mężowi jedynie oddana, od życia na świecie oddzielona, oprócz domowego ogniska, nic ją ze świata nie interesuje. Znikomy tylko odsetek kobiet, w rodzinach o Europejskim wychowaniu, nieco inny kontakt ze światem utrzymują, ale w wielu wypadkach, mąż nawet z uniwersyteckim wykształceniem woli, by połowica jego spędzała w purdah swe życie, gdyż tego wymaga religja i tradycja. Wiele tomów zostało wydrukowanych na temat życia kobiet w Indjach i najciekawszą może jest książka Abbé J. A. Dubois p. t. „Hindu manners, customs and Ceremonies" drukowana w Oxfordzie, Clarendon Press, 1924.

Pragnąc ograniczyć się tymczasem do sprawy udziału kobiet w obecnych wyborach, warto przyjrzeć się propagandzie przedwyborczej kobiet. Oto w pismach Bombajskich ukazuje się ogłoszenie na całą stronę dziennika, w którym rywalizujące kandydatki przedstawiają opinji publicznej swe kwalifikacje i curriculum. Treść ogłoszenia tego przytaczamy w dosłownym tłumaczeniu. „Oddajcie mnie wasze głosy" wołają obie kandydatki, w w jednym i tym samym ogłoszeniu. „Ja, siostra Bansari, dziewczyna ze wsi, reprezentuję tę wiejskie kobiety, które poświęciły życie swe ca-



Dojenie bawołów w Buffalo

łe służbie dla mężczyzny. Dla nas dom jest naszą świątynią, a mąż naszą świętością. Nie wiem, co znaczy moda w mieście, ale umiem zato ugotować dobry obiad dla męża i rodziny. Wychowana byłam w atmosferze skromności i uważam, że „modesty" jest najlepszym ornamentem kobiety hinduskiej Tak, jak byłam zawsze posłuszną córką, tak teraz jestem wierną żoną i wkrótce będę pieczołowitą matką. Tak, jak moja matka, tak i ja, zawsze zachowam przez całe życie moje czystość charakteru i duszy. Prośbą moją, którą kieruję do wszystkich sióstr, jest, by chciały głosy swe oddać na mnie, bym godnie mogła reprezentować ich interesy i przyrzekam, że zawsze będę ogień domowy utrzymywała z tradycyjnem oddaniem się i poświęceniem, które zawsze związane było z kobietą hinduską". Oto jedna.

Druga kandydatka prosto z mostu orzeka: „Ja, zdecydowanie nie jestem wiejską dziewczyną. Nie chciałabym być nią za nic w świecie. Jestem kobietą z miasta, która wierzy w absolutną emancypację kobiet. Gotować nie potrafię. Sensu nie ma uczyć się gotować, kiedy służba specjalizująca się w gotowaniu zrobi to znacznie lepiej. Poco prażyć się na słońcu, kiedy puder i krem doskonale pomagają do utrzymania pięknej i świeżej cery. Nie wierzę w marnowanie czasu w domu, kiedy w klubie mogę się zawsze czegoś nowego nauczyć. Śpiewam, tańczę i mam kilka par pięknych jedwabnych pyjamas — idealnych dla nowoczesnego mężczyzny. Żądam równouprawnienia dla kobiet i dlatego proszę o składanie głosów na moją kandydaturę". Dwie fotografje ilustrują ogłoszenie. Na szczęście, w rogu ogłoszenia, małemi literami zaznaczone jest, że głosowanie odbędzie się wieczorem, w Roxy Cinema o zwykłych godzinach... Gdyby jednak tego końcowego dopisku w ogłoszeniu nie było, jestem przekonany, że wielu uwierzy w kawał przedwyborczy i do „Roxy" wieczorem zaglądnie...

Kobieta z „purdah" poszła dziś po raz pierwszy do urny wyborczej. Religja nie pozwala jej przebywać w otoczeniu mężczyzn, a gdy wychodzi na ulicę, jeśli to mahometanka, twarz ma całą zakrytą, a tylko otwory na oczy. Kolegjum elektoralne nie mogło przezwyciężyć przyjętych zwyczajów i dla kobiet z purdah sporządzono specjalne urny wyborcze. Tam mężczyźni nie głosują...

Trudno doprawdy sformułować sobie bezstronne zdanie o wartości takich wyborców. Rozwiązanie byłoby łatwe, gdyby można orzec, że te wielkie masy wyborców mają istotnie dużo zdrowego rozsądku i głosować będą na kandydatów zasługujących naprawdę na zaufanie i poparcie. Wybory te jednak mają inne znaczenie. Jest to głosowanie ludu na partję, której programem jest walka o uzyskanie niepodległości. Potem dopiero występuje kwestja odpowiedniego dobrania ludzi zdolnych i mądrych.

Jest to referendum publiczne, za, czy przeciw administracji brytyjskiej w Indjach. Dość nasłuchano się prawdy i nieprawdy o eksploatacji Hindusów przez Brytanję, głosy więc ludu, nie rozróżniającego korzyści, jakie Brytyjska dominacja mogła dać Indjom, zdecydowanie są przeciw Brytanji, a za partją Kongresu. Tylko masy, do których mogli szczerze przemawiać pro-brytyjscy leaderzy, uwypuklając korzyści, jakie Indje uzyskały jako członek Imperjum, oraz podkreślając znaczenie protekcyj potęgi Imperjum — rozciągniętych na Indje od ostatniego półtora wieku, oraz niebezpieczeństwo rewolucji, która mogłaby zniszczyć cały dorobek dotychczas osiągnięty, gdyby władza przeszła w ręce ludzi nieodpowiedzialnych — powstrzymuje niektórych od głosowania za Kongresem.

Ci jednak, którzy pragnęliby widzieć zmianę rządu w Indjach przeprowadzoną powoli, spokojnie, bez rewolucji, bez wstrząsów socjalnych — są, mam wrażenie, w mniejszości. Mniejszość ta jednak poparta jest przez kontyngent 60.000 żołnierza brytyjskiego dobrze uzbrojonego w nowoczesne karabiny maszynowe, tanki, samoloty, którym nawet setki miljonów bezbronnej ludności nie potrafi się oprzeć.

Uzbrojenie zaś tej masy ludzkiej jest praktycznie niewykonalne. Jeżeli dążność Hindusów do uzyskania niepodległości jest tak wielka, dlaczego — pytam jednego z leaderów ruchu niepodległościowego, znanego adwokata w Bombaju — dlaczego zbrojny opór jest niemożliwy? Odpowiedź znajduję w organizacji brytyjskiej handlu nadbrzeżnego. Okazuje się, że Hindusi nie mają prawa posiadać swej własnej floty handlowej, ani prowadzić handlu zamorskiego, a nawet i nadbrzeżnego. Transport towarów indyjskich musi odbywać się na statkach brytyjskich. Powodem takiego stanu rzeczy jest nietylko tradycyjna chęć zarobku, jaki Brytyjczycy zwykli osiągać z transportu towarów, ale przedewszystkiem ścisła kontrola nad możliwym szmuglem broni.

Jest to jedno z zadań najbardziej skrupulatnie wykonywanych. Granice lądowe są niesłychanie mocno strzeżone, ze specjalnem zwróceniem uwagi na szmugiel broni. Granice wodne są niedostępne, gdyż transport pozostaje w rękach brytyjskich. Największe kary przewidziane są za szmugiel broni. Szmuglera takiego czeka kara wieloletniego więzienia. Dopóki Brytanja będzie pewna, że Hindusi nie otrzymali szmuglowanej broni, dopóty spokojnie spać może, nie obawiając się żadnego powstania, żadnej rewolucji, a wszelkie usiłowania w tym kierunku szybko zostaną stłumione.

Przyjeżdżając z Europy do Indji, już na okręcie otrzymałem do wypełnienia deklarację celną, ale specjalną kartę otrzymałem do wypełnienia z uroczystym jakby tekstem przysięgi, którą złożyć musiałem, że nie posiadam przy sobie żadnej broni palnej, ani karabinu maszynowego, ani pistoletu, a za tekstem przysięgi czytałem długą litanję konsekwencyj, na jakie narazi się śmiałek, który usiłować będzie szmuglować broń. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy ze znaczenia tej uroczystej spowiedzi, powoli jednak wszystko można zrozumieć...

W takiej sytuacji bezbronne Indje ani powstania, ani rewolucji przeprowadzić nie będą mogły. Tylko pertraktacje między leaderami ruchu niepodległościowego a rządem brytyjskim mogą krok za krokiem, dać Hindusom powoli, stopniowo to, do czego dążyli od półtorej setki lat.



Emil Allais, trzykrotny mistrz świata narciarskiego

W KRÓLESTWIE

Tegoroczne narciarskie mistrzostwa świata odbyły się w Chamonix. Były to XIV kolejne mistrzostwa F. I. S., a pierwsze odbyte w Chamonix.

Przysporzyły one chwały narciarstwu francuskiemu. Podczas tych zawodów narodził się istotnie międzynarodowy *as* — mistrz świata w slalomie, biegu zjazdowym i kombinacji francuz Emil Allais. Zdobył on kolejno trzykrotnie pierwsze miejsce w tych wszystkich trzech konkurencjach. Był to wyczyn zupełnie wyjątkowy, tembardziej, że osiągnięty w bardzo dobrze obsadzonych biegach, w trudnych warunkach i z niebywałą brawurą.

Emil Allais pierwszy swój sukces w biegu zjazdowym osiągnął wprost karkołomną jazdą, niemal nie hamując na skrętach, prześlizgując się nad przepaściami, wśród śnieżycy i mgły. Rasowy instynkt góralski prowadził go zwycięsko w tych trudnych warunkach przez bezdroża, gdzie zaledwie dawało się dojrzeć lub wyczuć trasę zjazdową. Allais zwyciężył o 13-cie sekund Maurycego Lafforgue'a, też narciarza francuskiego — pirenejczyka i włocha Sertorelli. O ile bieg zjazdowy odbył się w jaknajgorszych warunkach, to za to slalom miał pełne słońce i dzień wprost cudowny. Trasa ponad Chamonix - miasteczkiem przeprowadzona była jak na dłoni i wszystkie ewolucje, gzygzaki, przeszkody mogły być świetnie obserwowane. Zdrowy, krępy, skromny, skupiony góral z Megève (miejscowość niedaleko od Chamonix, zdobywając w ostatnich latach coraz większy rozgłos i uznanie w zimowym świecie sportowym) Emil Allais tryumfował, bijąc o $^4/_5$ sekundy austrjaka Walsch'a. To drugie zwycięstwo młodego francuza wprowadziło ludność Chamonix w szał radości. Wieczorem odbył się pochód tryumfalny z pochodniami i mowami. Allais był niesiony na rękach, obsypywany kwiatami. Jego pierwsze miejsce w dwuch konkurencjach i 400,4 punktów w kombinacji dawało mu nietylko mistrzostwo świata w tych trzech konkurencjach, ale przyczyniło się również do zespołowego zwycięstwa dużyny francuskiej. Lafforgue bowiem, choć w slalomie uległ Walschowi, to jednak w kombinacji miał 428 punktów i wysunął się przed Walsch'a, który osiągnął dość niefortunną pozycję w biegu zjazdowym. Tryumf więc Francji był zupełny i zasłużony.

Następnie w klasyfikacji ogólnej byli szwajcarzy Willey Steuri i Almen z 430,6 i 431,8 punktami. Dalej dop'ero byli niemiec, włoch i austrjak.

Niewątpliwie Emil Allais miał przywilej swego terenu, znanego terenu i swojej publiczności, ale niezależnie od tego trzykrotne zwycięstwo i trzykrotne mistrzostwo, świadczą doskonale o klasie tego zawodnika. W osobie Allais przybył światu mistrz niesłychanie sympatyczny i istotnie sportowiec wysokiej klasy. Kierownik francuskiej drużyny Stefan Bunau-Varilla tak go określił, gdy go zobaczył po raz pierwszy w drużynie w Insbrücku w roku 1934: „Zobaczyłem chłopca o fizjonomji ruchliwej, wyrazistej ale skupionej. Nie umiał on więcej od innych, ale jego jasne, głębokie spojrzenie szło ku mnie, gdym im zaczął tłomaczyć arkana techniki zjazdowej, sztuki skrętów, czegom się sam niedawno nauczył i co chciałem przekazać jaknajprędzej całej drużynie. Wieśniak, jak i inni, a więc sceptyk i nieufny z natury, zrozumiał odrazu wagę moich poczynań. Nic nie mówił, ale na twarzy jego widoczne było, że w umy-



Chamonix wzięte szturmem przez sportowców

NART I KRĄŻKA

śle jego informacje moje wyryły się dokładnie. Od tej pory Allais nigdy nie lekceważył żadnej rady, przestrogi, bacznie zawsze obserwował innych zawodników. To zadziwiający chłopak, inteligentny, niełatwo zaprzyjaźniający się, daleki od jakiejkolwiek wulgarności. Ani w powodzeniu, ani w pechu nie pozwala sobie na radosne lub bolesne trywialne wykrzykniki i objawy swych uczuć".



Zwycięski patrol norweski przed biegiem

Allais jest więc wzorem starannego, sumiennego, pracowitego sportowca, uczącego się ciągle: treningiem, obserwacją, słuchaniem rad. Przy tych zaletach rozsądku — ma on olbrzymi temperament i energję bojową. A przytem jest niesłychanie skromny. W życiu prywatnem — młody mistrz był pomocnikiem swego ojca — czeladnikiem piekarskim w piekarni ojcowskiej. Kochał go bardzo, to też, gdy po jego śmierci, matka w lat parę powtórnie wyszła zamąż — młody Emil stał się nieco skryty i szczególnie zimową porą wszystkie wolne chwile spędzał na dalekich samotnych wycieczkach narciarskich. Objawy popularności i komplementy przyjmował podczas entuzjastycznych pochodów w Chamonix z zażenowaniem i z onieśmieleniem. Trzeba przyznać, że wiwatująca ludność Chamonix i tysiące przyjezdnych sportowców z taką samą wylewnością „obnosiła" zwycięzczynię zawodów kobiecych bezkonkurencyjną narciarkę niemiecką pannę Christel Cranz. Dokonała ona po „kobiecej stronie" tego samego wyczynu, co Allais — również była pierwsza w zjazdach, slalomie i kombinacji.



Birger Ruud, najlepszy narciarski skoczek świata

Choć biegi zjazdowe i do kombinacji wywołały duże zainteresowanie, to jednak, jak zawsze, clou zawodów stanowił dzień skoków, który ściągnął do Chamoix 20.000 widzów, turystów i sportowców. W słońcu i śniegu zrywali się do lotu od progu skoczni co najlepsi skoczkowie świata, co najprzedniejsi mistrze! Była to jeszcze jedna okazja dla zadokumentowania znakomitej klasy Birgera Ruuda— ponownie zdobywającego mistrzostwo i wywołującego zachwyt tłumów. W biegach patrolowych i dystansowych tryumfy święcili norwegowie, nie dając sobie wydrzeć palmy pierwszeństwa. Zawód sprawiła w tych konkurencjach Finlandja.

Nawet posiadanie fenomenalnego biegacza — Mykkoli nie ocaliło drużyny fińskiej. Mały narciarz — lapończyk nadrobił wiele, wyminął nawet norwegów i kończył na pierwszem miejscu swój dystans. Cóż, kiedy następny drużynowiec fiński nie dorównał swemu partnerowi, ulegając norwegom. Patrol norweski złożony z: Roenn'a, Bergendahl'a, Fredriksen'a i Ruyen'a zwyciężył więc zdecydowanie.

Polscy narciarze, niestety, po raz pierwszy, wypadli bardzo blado — odbił się tu brak obozu treningowego przed wyjazdem. A start i wypadek Marusarza w biegu zjazdowym, start niemal bez treningu był lekkomyślnością, osłabiając szanse tego utalentowanego i wyjątkowego naszego skoczka.

X. Y. Z.

MISTRZOSTWA W LONDYNIE

Tegoroczna wyprawa do Londynu polskich mistrzów hokejowego krążka odbyła się w warunkach specjalnie pomyślnych. Zima aczkolwiek późna, ale dość intensywna pozwoliła na rozegranie stosunkowo dużej ilości spotkań w kraju. Mecze krajowe i zagraniczne w Katowicach — dwa turnieje w Krynicy, chociaż ze słabymi przeciwnikami zagranicznymi zrobiły swoje. Gracze polscy obdarzeni nie-

wątpliwym talentem do hokeja mieli możność rozkręcić się.

Wyjazd do Londynu na mistrzostwa rozpoczął się pod dobrą gwiazdą. Trzy kolejne zwycięstwa: ze Szwecją 3 : 0; Francją 7 : 1; Węgrami 4 : 0 — napełniły nas otuchą i zadowoleniem. Hokeiści tryumfowali.—Na lodowej tafli Anglji zjawiła się drużyna nieznana, co wstępnym bojem zdobywała sobie sympatję. Wszystko było jaknajlepiej. Pocichu zaczęto śnić o półfinale, później nawet o finale. Niestety te gorące pragnienia nie ziściły się. Przyszła natomiast porażka z Anglją. Ta porażka nie przynosiłaby nam wstydu — była ona normalna. Musieliśmy uledz najlepszej drużynie Europy, drugiej drużynie świata! Za tę przegraną nikt by naszych nie winił. I nikt ich nie może obwiniać. Krytyce jednak musimy poddać metodę, jaką kierownictwo naszej ekspedycji zastosowało w stosunku do tego spotkania.

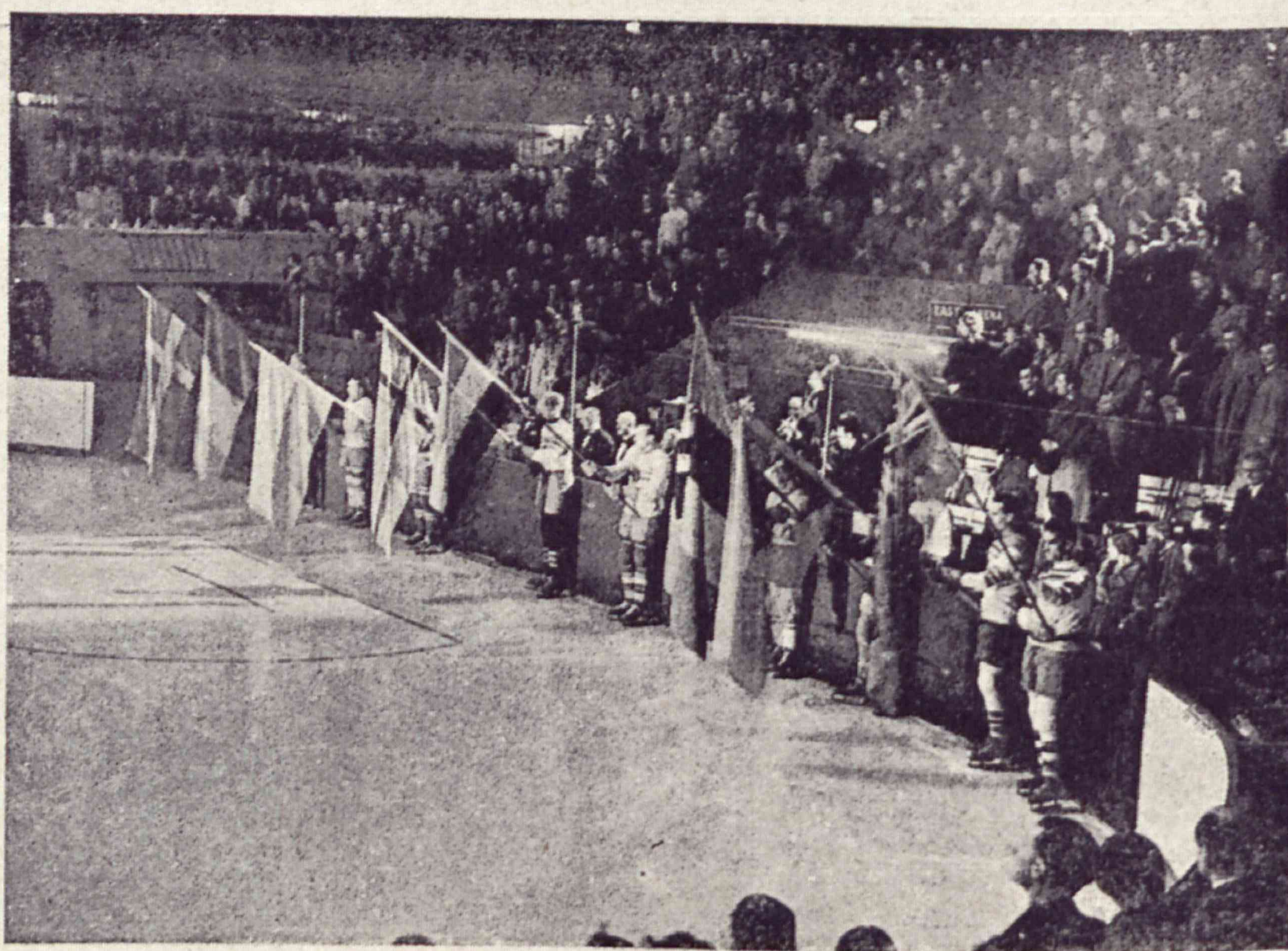
Wystawiono skład zapasowy — pozornie była to przezorność sportowa, w gruncie rzeczy w stosunku do gospodarzy, w stosunku do angielskiego terenu, na którym byliśmy po raz pierwszy i gdzie wyrobiliśmy sobie jaknajlepszą markę, była to sportowa... niepoprawność!

Zdobywszy uznanie angielskiego świata sportowego i sympatję publiczności należało wykazać się, iż właśnie nie jesteśmy o tyle słabsi od drużyny angielskiej, jak to mógł dokumentować wynik 11 : 0! Po pierwszych powodzeniach i dobrej grze Polsce nie wolno było dopuścić do otrzymania dwucyfrowego wyniku! To był błąd. Rezultat ten w opinji angielskiej musiał nas postawić w rzędzie najsłabszych drużyn turnieju.

Mecz z Anglją—naszego pierwszego kompletu, nie mógł go tak osłabić i wyczerpać, aby wpłynął ujemnie na wynik następnej gry ze Szwajcarją. która to gra decydowała o wejściu do finału.

„Przezorność" kapitana sportowego drużyny była zupełnie nie w porę zastosowana, bo jak się okazało ze Szwajcarją przegrano, *chociaż z Anglją grał drugi komplet*. Towarzysko, w stosunku do gospodarzy popełniono nietakt — a w rezultacie uzyskano dwa minusy: dwucyfrową porażkę z Anglją i przegraną ze Szwajcarją.

Od tej chwili zaczęła się baisse a naszej ekspedycji. Bo wkrótce otrzymaliśmy niezrozumiałą wiadomość o wycofaniu się naszej drużyny z turnieju pocieszenia, *po rozegraniu* pierwszego meczu tego turnieju z Czechosłowacją i po przegraniu go 1 : 0.



Rozpoczęcie mistrzostw hokejowych w Londynie na lodowisku w Wembley

Wówczas okazało się, że wskutek... przemęczenia kierownictwo wycofało naszą drużynę z następnych spotkań z Francją i Węgrami. Decyzja przykra, nieuzasadniona i kompromitująca. Okazuje się bowiem, że z 8-iu drużyn czołowych turnieju — tylko polakom zabrakło sił, aby dotrwać do końca. Wszyscy inni, nawet rozgromieni francuzi i węgrzy mieli siłę, by grać dalej, jedynie polacy byli przemęczeni. A tak się przecież oszczędzali, nawet z Anglją grali rezerwowymi graczami, a mimo to z sił opadli. „Słusznie nie weszli do finału — powie angielski sportowiec — nawet gdyby im szczęście pomogło, sił by im zabrakło do końca". Z punktu widzenia sportowego ta dezercja musi nam przynosić tylko bardzo dotkliwy minus. Doskonały start i pierwsze sukcesy naszych graczy nie zasłużyły na to, aby tak fatalny błąd kierownictwa pomniejszył sportowy bilans, wypracowany przez graczy. Ale ten błąd w świetle rzeczywistości wygląda znacznie gorzej. Bo ta „przegrana" drużyna, zamiast wracać do domu, by wypocząć, rozpoczyna tournée turystyczne — jedzie do Brukseli, gdzie, jak słusznie określił „Przegląd Sportowy", „dostaje lanie" od miejscowych kanadyjczyków w stosunku 5 : 1!

Ale nie koniec na tym. „Przemęczeni" w Londynie mają siłę jeszcze na dwa mecze w Amsterdamie!

Więc jedno z dwojga — albośmy *nie byli* przemęczeni w Londynie i niesportowo usunęliśmy się przed walką o miano 6-ej drużyny Europy, unikając powtórzeniem naszej przewagi nad Francją i Węgrami zadokumentowania naszej klasy. Albośmy byli przemęczeni, a w takim razie niewolno narażać drużyny na walkę i porażki w Brukseli i Amsterdamie! Gdzież jest... przezorność, gdzie owa „troska" o graczy, która cechowała kapitana sportowego przed spotkaniem ze Szwajcarją?

Wyprawa nasza do Londynu starannie przygotowana przez P. Z. H. L., rozpoczęta dobrze, stwierdziła podniesienie się poziomu naszych graczy, wykazała ich talenty, zadokumentowała wybitny „skok wzwyż" poszczególnych graczy oraz całego zespołu A mimo to— kończy się dysonansem sportowym. Opuszczeniem mistrzostw pod nieprawdziwym pretekstem przemęczenia! Nieprawdziwym, bo turystyczny zespół kierownictwa, wiodącego drużynę w inne boje, daje dowód sportowcom w Londynie, że gdzieindziej walczyć polacy mogli i chcieli. To posunięcie nie było ani sportowe, ani taktowne, ani nie przyniosło wawrzynu sportowi polskiemu.

Szkoda! Szkoda, że znów zmarnowano tak świetnie zapowiadającą się okazję.

Old Boy.

R. DALBOROWA

HUMOR NA PONURO I PONURY HUMOR

Tak naprawdę, to najbardziej śmieszna jest ta osoba, która jest bardzo poważna.

„Clown" w cyrku, komik w rewji, aktor w farsie, żeby nie wiem jak błaznowali, ich humor jest spodziewany, opłacony. Nie ma poczucia kontrastu, nawet kiedy to jest Buster Keaton. Zgóry wiadomo, że błaznuje na ponuro. Natomiast, jeżeli to jest urzędujący dygnitarz, dyplomata wysokiej rangi, nawet zwykły referent — „robiący ważnego", to humor u nich jest niespodziewany, tylko na nieszczęście opłacony i to ciężkim groszem w lekko wyznaczonych dobrowolnych pożyczkach. I tu właśnie znajduje się urok kontrastu, co jest między innemi podstawą rzetelnego humoru.

Idąc do cyrku nie zmienia się biurowej marynarki i codziennej sukienki. Idąc na audiencję do dygnitarza, na którą czekało się 7 dni, (a nie 7 minut jak przy kasie cyrkowej), mężczyźni kładą żakietowe spodnie a kobieta robi się na „dystyngowano i wizytowo". Stanąwszy przed obliczem znakomitości, człowiek spodziewa się wszystkiego — po za możnością uśmiania się.

Tymczasem stąpając po miękkich dywanach w drodze powrotnej można już dać, nieraz, upust swej wesołości. W obecności osoby wiadomej może nami wstrząsać li tylko śmiech wewnętrzny, w przeciwieństwie do asystowania w wesołych widowiskach, gdzie wolno śmiać się całą gębą. A powodów do szczerej radości zdarza się wiele.

Dygnitarz, który przed pół rokiem pożyczał od petenta lub przyjaciela tegoż 2 złote na obiad, wisiał na rączce tramwajowej i użerał się z kuchtą o 15 groszy koszykowego, zapomniał o tem tak szybko i tak dokładnie — jak dziewica w piątym miesiącu, przystępująca w białych tiulach niewinności do ślubnego ołtarza.

Dygnitarz rozparty w swym safianowym fotelu „okazuje się być" pan z panów; sypie cyframi setek tysięcy z nonszalancją najzupełniej wrodzoną (wrodzoną od paru miesięcy), dzwoni na woźnego tak, jakby od poduszki niemowlęcej dzwonił przy każdej potrzebie na czyhającą na wezwanie służbę. Jest szczerze zirytowany, że „zdarzył się defekt" w jego własnym (czyli urzędowym) samochodzie i zmuszony jest wziąć zapasowy, czego nie znosi, bo... przyzwyczajony jest do swoich resorów, a na śmierć zapomniał, że do niedawna rodzone nogi były mu resorami.

To ju nie woda sodowa uderza do głowy, a zwyczajna z kranu potrafiła tak urżnąć biedaka, że nic nie pamięta, o niczem nie wie, a najgorzej, że nie wie o co go się pytają, bo wprost nie rozumie, jako że dostał przez roztargnienie dział pracy wręcz przeciwnej jego fachowym, zresztą bardzo wątłym, bo „domowym" umiejętnościom.

Człowiek z prawdziwym poczuciem humoru ma po takiej wizycie „kupkę śmiechu", jeżeli jest bardzo wrażliwy na dobre kawały, to mu wystarczy na tydzień radości i na parę cierpkich łez buntu.

Albo czy nie można się uśmiać w tę i tamtą stronę, jak się widzi np. żonę wysokiego dyplomaty, która „reprezentuje" na placówce. Biedactwo kochane reprezentowało do niedawna: pokój sublokatorski, 8 godzin bicia na maszynie, salceson na drugie śniadanie i źle złapane oczko w pończoszce ze sztucznego jedwabiu. Teraz ma apartamenty, liczną służbę, homary i czysto jedwabne pończochy do dyspozycji. Kobieta przy swej wrodzonej łatwości przystosowania (zmuszają nas do tego mężczyźni) umiałaby bardzo prędko i łatwo stać się jak najbardziej autentyczną damą z wyższych sfer, gdyby się chciała tego nauczyć. Ale cóż, ona wszystko sama najlepiej wie, wszystko umie, poprostu od dziecka żyła w Przasnyszu (w tej atmosferze luksusu i obracała się w tych sferach, o wysokich wymaganiach towarzyskich i trochę niższych pod względem intelektualnym). Trzeba widzieć zbliska taką damę, miotającą się beznadziejnie w nieznanym a obcym jej świecie, aby zrozumieć jakim źródłem humoru może być taka gaffa, jak uplasowanie niewłaściwej osoby na niewłaściwym stanowisku. Kobiety takie zachłystują się uniesieniem, mówiąc o swym należeniu do korpusu dyplomatycznego. Szkoda tylko, że swój własny korpus obnażają przesadnie „z tylnego en face'u", a co gorzej i od dołu, co wyrabia przekonanie, że obnoszą za wysoko na obczyźnie sztandar kobiety — polki.

A taki zwykły referent ministerjalny, albo taki pan z okienka na poczcie, czy w innym urzędzie! Ileż radości może dać jego powaga, jego ważność, suchość i ostrość w traktowaniu klijentów, a w najlepszym razie miluchne poklepywanie po ramieniu plebsu, który ma do niego interes i który mu płaci; zresztą za załatwienie tych interesów. Przecież to jest czarujące..., przecież to rozbraja.

Ci wszyscy od góry do dołu z woźnym włącznie, są sługami społeczeństwa. My tym sługom płacimy za „papu", za samochody, za szkoły ich dzieci i desusy ich żon, córek i t. d. a oni nas tak źle traktują! Czyż to nie jest pełne humoru?

Jeżeli komu jest smutno, niech idzie na miasto i załatwi po kolei wszystkie sprawy urzędowe, jakie ma do załatwienia. Wróci roześmiany. Trafiają się coprawda dziwaki, którzy bez uśmiechu, a z żółcią patrzą na te sprawy. Tym radzę cholekinazę na wątrobę, bo i tak zmienić nic nie można.

Jeszcze jeden drobny przykład: typowym objawem humoru na ponuro i ponurego humoru jestem ja. Z łona matki wyszłam z twarzą ponurą, z ponurym głosem, o czem wiedzą wszyscy, co mnie widzą i słyszą, a że humor mam ponury, to państwo przekonali się czytając ten feljeton.

Zjazd 201 pułku

Komitet Zjazdu Żołnierzy 201 p. p. podaje do wiadomości, iż Zjazd odbędzie się dnia 7 marca 1937 r. w Wilnie.

Karty uczestnictwa, oraz informacje można otrzymywać w siedzibie Komitetu przy ul. Ludnej 10 w Warszawie, w godzinach dyżurów 19 — 22 w środy i soboty

Premie powieściowe „ŚWIATA"

Do numeru bieżącego dołączamy dla naszych prenumeratorów, jako kolejne miesięczne premia powieści:

„Niebieski Ptak"—Tomasza Manna,

„Święta Helena Mała wyspa"—M. Ałdanowa

GUSTAW OLECHOWSKI

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

POWIEŚĆ

— To wszystko bardzo dobrze, mój drogi, ale muszę cię uprzedzić, że o ile mam ramiona otwarte dla każdego, kto chce przyjść do mnie, o tyle do nikogo nie pójdę, bo wszystkie filozofje czy mafje są strumyczkami zdążającymi do oceanu, który jest mojem dominium.

— A więc dobrze pomówimy kiedyindziej, ale właśnie żeby nasza dalsza rozmowa była możliwa, to błagam cię, mów dziś ostrożnie i nie pal mostów za sobą.

— Rozumiem cię, kochany kolego, ale palenie mostów czasem jest korzystne. Wprawdzie odcina mnie od świata, ale też i innym nie daje do mnie dostępu.

— Jeżeli ci o to chodzi...

— Wcale nie. To tylko uwaga na marginesie.

Rano Zim poszedł do kościoła i długo się modlił:

— Duchu święty Boże, wesprzyj mnie. Z rozkazu Twego Panie, dzieje się wszystko dobre. Nawet zło, Boże, na dobro zamienasz łaską oświecenia człowieka, który potem dopiero zasłużyć się może. Otworzyłeś mi, Panie, oczy na obłudę i nędzę świata. Skierowałeś mnie do poznania, jak żyć i działać należy, by ludziom wskazać drogę praktyczną do Ciebie, Panie, jakiemi sposobami ziścić to, coś przez Syna Twego objawił. W największej pokorze przyjmuję, Panie mój, tę misję, bo nie widzę koło siebie nikogo, ktoby to za mnie uczynił. Jak zszedłeś kiedyś, Duchu Święty, na apostołów, dając im żar płomienia, by nauczali słowa twego, tak użycz mi, Boże, na dzień dzisiejszy słów płomiennych, bym — mówiąc o rzeczach doczesnych, ludzkich, praktycznych, zdołał poruszyć sumienia i umysły, by ci, którzy mogą, nie przeszkadzali stwarzać takich warunków, które ułatwią znękanemu człowiekowi życie godniejsze w drodze do stwarzania się na obraz Twój, Panie Wszechmogący. Nie opuść mnie, Boże, bo dla Twojej to chwały czynię. Amen.

Wieczorem Zim poczuł lekką tremę, ubierając się we frak na odczyt. Po chwili jednak powiedział sobie werset z Nowego Testamentu: — „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia" i — mocny swoją tajemnicą, pojechał do *Odd - Fellow*.

Miało się wrażenie, że sala była jeszcze pełniejsza niż wczoraj, choć to było niemożliwe, bo i wczoraj nie pozostawało ani jednego miejsca wolnego. Ale dziś było gwarniej. Mniej było osób oficjalnych i członków Kongresu, zato więcej młodzieży.

Zim czekał w pokoju prelegentów na znak.

Dzwonek dyskretny — — —

Skupiony, ale promieniejący, czoło podniesione, oczy rozwarte, śmiały w ruchach, Zim wyszedł na estradę, wolno, jakby przechadzając się po salonie, jakby miał zabrać głos w jakiejś sprawie już dyskutowanej, na prośbę słuchaczy.

Skłonił się całemu audytorjum.

Zdziwiono się, bo Zim ominął katedrę i stanął tuż przed rampą. Żadnego rękopisu w ręku, nawet notatek. Spojrzał po sali. Widzi Ninę, Sullivana, nuncjusza. Czuł, że kilka serc bije gwałtownie, Niny — najgwałtowniej.

Czekał aż cisza zapanuje zupełna. Będzie mówił tak, jakby gawędził z przyjaciółmi.

— Boże, tyle cierpień na świecie z niewiadomości i z braku chcenia!

— Czyż to możliwe, żeby ten tysiąc osób, który trzyma w swych rękach losy świata, nie chciał chcieć! Żeby każdy z nich nie wyczerpał wszystkich źródeł wiedzy, chociażby dla oczyszczenia swego sumienia. Czyż to możliwe, by lenistwo myślenia, by ucieczka od trudu, by dosyt dzisiejszy obezwładniał ich i by ludzkość tolerowała taką zbrodnię!

Przeleciały mu te myśli w kilka sekund — błyskawicą. Zaczął mówić, bardzo wolno, wtłaczając każdy wyraz w mózgi i serca.

„Excellences, Mesdames, Messieurs. Gdybym przypuszczał, że moi szanowni słuchacze są przekonani, iż człowiek jest tylko syntetycznym tworem chemiczno - biologiczno - fizjologicznym, tobym zszedł zaraz z tej trybuny. Bo cóżby nas obchodzić mogły losy człowieka, który z chwilą śmierci rozkłada się na pierwiastki — wody, fosforu, wapna i czegoś tam jeszcze, i na tem kończy. I gdybym przypuszczał, że szanowni moi słuchacze, biorąc rzecz z drugiej ostateczności, wyłączają ludzkość z praw, rządzących ziemią, wszechświatem, kosmosem, to postąpiłbym tak samo, bo cóż mielibyśmy do powiedzenia o losach ludzkości nie rządzonej w swym postępie prawami. A przecież Konferencja Światowa dziś otwarrta, ma za zadanie — uregulować losy ludzkości.

Mam prośbę do wszystkich moich łaskawych słuchaczy, a nawet dwie prośby. Naprzód, by zapomnieli na chwilę, że stoi przed nimi dyplomata. Chcę być w tej sali zwykłym sobie obywatelem, któremu pozwolono przemówić ex katedra w sprawie, obchodzącej cały świat. A druga prośba — by łaskawi słuchacze oderwali się myślą na godzinę od swoich sytuacji życiowych. W ten sposób porozumiemy się łatwiej. Ot, poprostu człowiek przemawia do ludzi.

Złe wybaczyć potrafimy, ale musimy być groźni dla tych, którzy się na jawne zło godzą, udział w nim biorą, powodują je lub przeszkadzają w jego wykorzenieniu. A winowajcą jest zawsze ten, kto ma władzę zło usunąć, a nie czyni tego.

A cobyśmy powiedzieli o człowieku, zabłąkanym w puszczy, nie znajdującym wyjścia, gdyby mu ktoś, wypadkiem spotkany, ofiarował kompas i mapę, a człowiek ów dufny w swój rozum czy instynkt, nie chciał się zapoznać ze sposobem użycia tych zbawczych narzędzi. Mielibyśmy go albo za desperata, albo za beznadziejnie nieodpowiedzialnego.

Takimi są wszyscy ci, którzy dziś rządzą światem, a nie chcą dowiedzieć się o nim prawdy. A prawdy nie znajdujemy, ani w kodeksach, ani statutach, ani traktatach. Jedynie i wyłącznie w filozofji. Ale filozofów uważamy za nieszkodliwych maniaków.

Niejeden wzruszy ramionami. Tylu przecież było i jest genjalnych mężów stanu.

Zdumiewające jest w takim razie, że ich genjusz nie był zbawczym, bo trudno sobie wyobrazić gorszy stan życia zbiorowego, niż ten, którego jesteśmy świadkami".

Zim zaczął teraz malować panoramę świata. Naprzód Boskiego, który jest niewysłowionym szczytem doskonałości. Od słońc do atomu, wszystko jest bezgranicznie piękne, mądre i celowe. Czyżby w tej cudownej harmonji człowiek jedynie miał być wyklętym wyjątkiem. Człowiek, syn Boży, jedyny stwór, który ma dar poznania, który — jedyny — posiada Rozum tak potężny, że może stać się bezbłędnym, absolutnym, zdolnym zrozumieć nawet Boga.

A potem namalował najciemniejszemi barwami panoramę świata, urządzonego przez człowieka. Z jednej strony duch jego stwarza najcudniejsze dzieła wzlotów natchnionych, genjalnych, w religji, filozofji, sztuce, nauce, technice, odkryciach, wynalazkach, — z drugiej — człowiek materjalny, cielesny, jego egzystencja zwierzęca, żądze, złość, nienawiść, głupota, tchórzostwo, bezwład, ignorancja, gnuśność—stworzyły nędzę mas, szał, zbrodnie, ciemnotę, kajdany, choroby, walkę klas, rewolucje i wojny.

Państwo nowożytne serdecznie opiekuje się i jednym i drugim. Buduje kościoły i więzienia, toleruje filozofów i domy publiczne, opiekuje się nauką, fundując wszechnice i szerzy ciemnotę, nie dopuszczając do głosu wolnej myśli. Popiera technikę, a do tworzenia konstytucji, które mają formułować szlak dziejów ludzkości—domena filozofji—wzywa prawników—z domeny interesów. Rewolucje zwalcza rzezią, wojny małe wojnami wielkiemi. Gwarantuje dobrobyt bogatych i gwarantuje nędzę wydziedziczonych, nie dając im pracować.

— „Światowe Konferencje" — mówił dalej — mają w programach stale i niezmiennie utrwalać status quo. To im się udaje doskonale.

Obecna konferencja będzie powtórzeniem dawnych. Nie wypada więc wystąpić na niej z wnioskiem przekreślenia całej przeszłości, której rezultaty namalowałem jedynie odpowiednią, najczarniejszą sadzą. Dlatego korzystam z tego, że mnie zaproszono, bym mówił a titre privé, w audytorjum zebranem incognito i zapoznał wielce szanowne panie i panów z czemś co się stało przed stu laty, a o czem nikt z obecnych, o ile mi wiadomo, nic nigdy nie słyszał.

Czy może sobie kto wyobrazić współczesnego architekta, któryby nic nie słyszał o żelazobetonie. Otóż zapewniam wszystkich, że w dziedzinie budowy ustroju instytucji, państw i organizacji ludzkości istnieje żelazobeton.

Pozwolę sobie odkrycie to zademonstrować.

Będę zniszczony za to tak, jak zniszczeni byli odkrywcy największych prawd i świateł, których nazwiska wszyscy znają. Jestem wprawdzie tylko popularyzatorem tych prawd i przepraszam za tę analogję. Niech żal, który czuję, będzie mi odkupieniem. Winowajca mojego odczytu, filozof polski, Józef Maria Hoene - Wroński także był niszczony.

Po kilku tysiącach lat pracy filozofów, w końcu 18-go i na początku 19-go wieku wielcy myśliciele niemieccy otworzyli ostatnie zamki pałacu Prawdy, czem jest Rzeczywistość. Ale do pałacu tego nie weszli lub wejść nie zdążyli. Dopiero następca ich, Wroński, odkrył nam skarby, które tam znalazł, zrozumiał i objaśnił.

Odkrył on, że wszelka rzeczywistość, kosmos i lot ptaka, Państwo i symfonja, moralność i towarzystwo akcyjne złożone są organicznie z dwóch elementów w jedni rzeczywistości, elementów żywych, które dążą do upowszechnienia, zbliżenia, zastąpienia się wzajemnego i utożsamienia. W języku filozofów nazywają się one Byt i Wiedza. W języku popularnym mogę je tymczasem nazwać Materją i Duchem, Formą i Treścią, ale nie będą to określenia ani ścisłe, ani uchwytne.

Jeden jest tylko wyjątek z tej reguły — Rozum. I dlatego myśl może się stać Rozumem przez wysiłek ducha. W naturze swojej bowiem Myśl posiada dwa przeciwstawne bieguny — emocjonalny i poznawczy. Jedni rozumują emocjonalnie, wzruszeniowo, inni poznawczo spekulatywnie. *(D. c. n.)*

TYDZIEŃ „ŚWIATA”

Min. Neurath w Wiedniu

Wizyta min. von Neuratha w Wiedniu wywołała wiele komentarzy i domysłów. Nabrała ona specjalnego charakteru przez manifestację narodowo - socjalistycznych kół austrjackich, które na ulicach Wiednia witały min. von Neuratha okrzykiem „Niech żyje Hitler! Jeden naród! Jeden wódz!” Te manifestacje utrudniły zapewne rozmowy dwuch ministrów spraw zagranicznych von Neuratha i dr. Guido Schmidt'a, którym patronował ruchliwy i przedsiębiorczy poseł niemiecki w Wiedniu p. von Pappen.

Dziś sytuacja wytworzyła się taka, że mnożą się głosy nawet poważne, uważające powrót Habsburgów jako antydotum Anschlusowe, jako największą gwarancję niepodległości Austrji.

Nie trzeba przytem zapominać, iż pod koniec ub. roku 1,456 gmin austrjackich, a więc więcej niż jedna trzecia mianowało Ottona Habsburga swym honorowym obywatelem. Jesteśmy więc świadkami masowości ruchu za powrotem Habsburgów. Kto wie, czy rząd kanclerza Schuchnigg'a nie odwoła się w razie konieczności do tej opinji publicznej. Sądząc z ostatniej mowy kanclerza nie jest to wykluczone. Ustalił on bowiem trzy zasady.

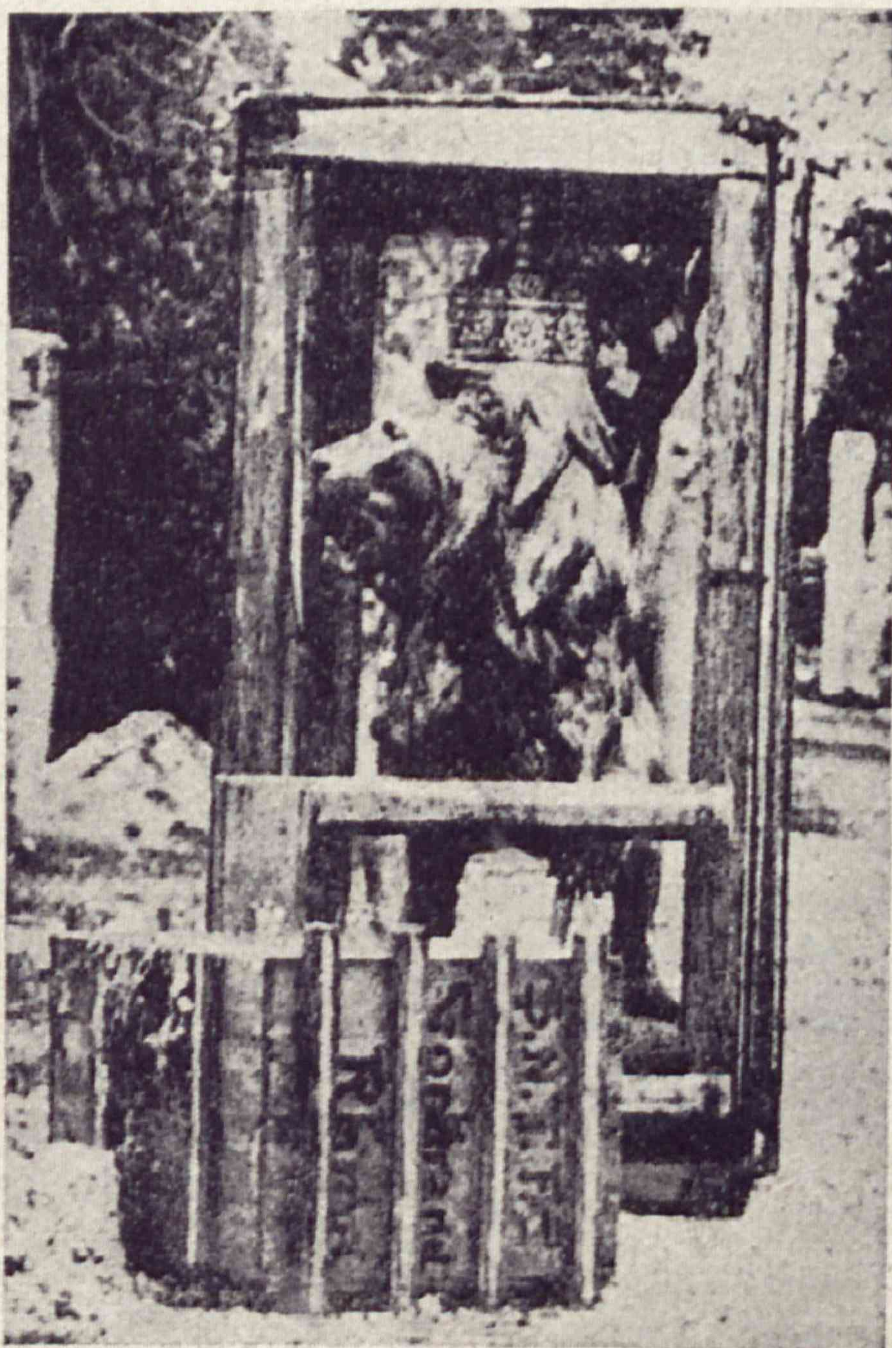
Utrzymanie tradycji historycznych w Austrji jest zadaniem Frontu Patrjotycznego.

Sprawa formy i ustroju państwa zależy wyłącznie od ludu austrjackiego, który zdecyduje w ramach konstytucji.

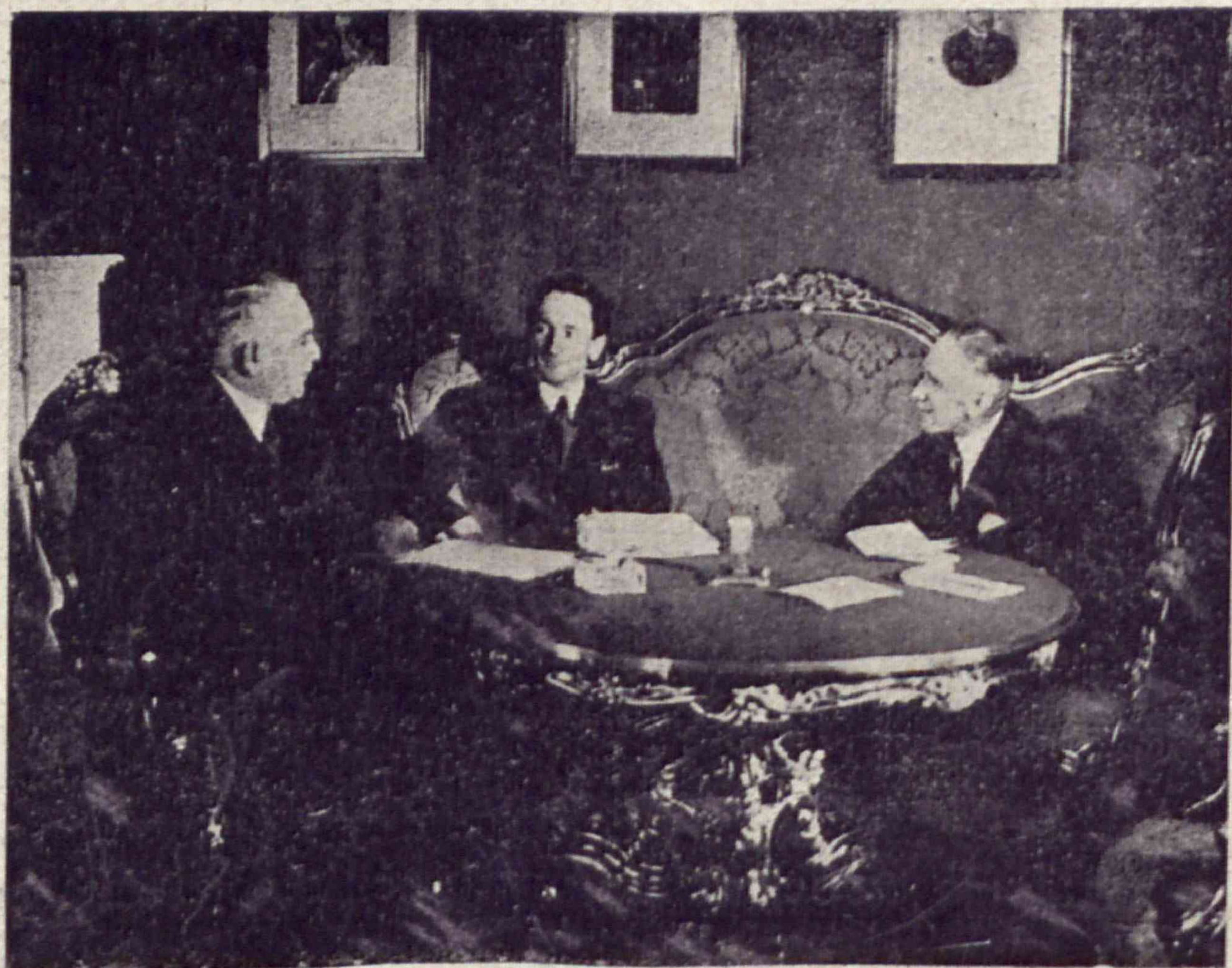
Rząd zastrzega sobie prawo odwołania się w tej kwestji do plebiscytu ludowego.

Jeśli dodamy, że według kanclerza ten pogląd „godzi w interesy Narodu, Kraju i Domu Autrjackiego”, to można twierdzić, że tezy te są bardzo wymowne. Nic dziwnego, że sprawa Austrji wypłynęła dziś na czoło zagadnień europejskich.

W niedalekiej przyszłości kanclerz Schusschnigg udaje się do Rzymu. Czy będzie to relacja z wizyty p. von Neuratha, czy nowa faza akcji za powrotem Habsburgów? Niewiadomo jeszcze. Dziś znajdujemy się w paradoksalnej sytuacji: powrót Habsburga do Wiednia, może zmniejszyć hegemoniczny impet Niemiec w Europie Centralnej.



Słynny posąg „Lwa Judy” przewieziony w ostatnich dniach z Abisynji do Rzymu



Min. von Neurath, min. Guido Schmidt, poseł von Papen podczas konferencji w Wiedniu



Marszałek Graziani w Addis-Abebie podczas uroczystości z racji narodzin syna ks. Piemontu—włoskiego następcy tronu

Sprawa Gdańska

W tych dniach ukazała się świetna książka b. ministra i komisarza naszego w wolnym mieście Gdańsku, p. Henryka Strasburgera. Doprowadziwszy swe rozważania do ostatniego kresu p. Strasburger popierając danymi i faktami stwierdza, że polityka gospodarcza Gdańska, to polityka Rzeszy Niemieckiej, że urzędnicy Rzeszy podporządkowali sobie senat gdański i że przed porozumieniem polsko - niemieckim polityka ta była nie do pomyślenia. Do książki tej należy stale zaglądać, kogo temat Gdańska i Polski interesuje jako czołowe zagadnienie państwowe.

Marszałek Graziani

Według ostatnich wersji stan zdrowia marszałka Graziani miał się poprawić. Zamach dokonany na marszałka w Addis - Abebie zbiegł się z zapowiedzią udziału Negusa w koronacyjnych uroczystościach londyńskich. Czyżby ta wiadomość dodała energji buntującym się jeszcze szczepom w Abisynji? Jest to, być może, zbieg okoliczności — ale nie przyczyni się on napewno, do poprawienia temperatury znowu ostatnio ochłodzonych stosunków włosko - angielskich.

CZY PANI WIE, ŻE...

...ulubiony włoski deser, zwany „Zabajone", robi się tak: postawić na wolnym ogniu rondel z gotującą wodą, wpuścić w niego mniejszy rondelek, w którym gotować się będzie „Zabajone". Rozbić w tym rondelku osiem żółtek, 150 gram cukru i szklankę białego wina albo marsali. Oddzielnie rozpuścić w minimalnej ilości wody kilka listków żelatyny, i gdy żółtka z cukrem i winem dobrze się połączą, wlać żelatynę, oraz szklankę ubitej kremowej śmietanki. Nie gotować już, wymieszać, wlać do formy i zamrozić na lodzie.

■

„Nie mogę zrozumieć, mówi mi moja sąsiadka, jak można bez pomocy służącej utrzymać we wzorowej czystości nietylko pokoje ale i kuchnię?" Uśmiecham się z zadowolenia i myślę o „MYTOLU" firmy Dobrolin.

Mytol pierze 3 razy prędzej i łatwiej brudną i przepoconą bieliznę, oszczędzając zużycie mydła do 50%.

Myje 5 razy szybciej i lepiej tłuste i brudne talerze, naczynia emaljowane, szklane, stoły, okna, drzwi podłogi niemalowane.

„MYTOL" f. Dobrolin jest uniwersalnym środkiem myjącym, i piorącym.

■

...marcowe słońce — to groźba piegów! Która z pań skłonna jest do tych uprzykrzonych złocistych plamek na nosie i czole, powinna walczyć z niemi od samego zarania wiosny. Zależnie od właściwości indywidualnych skóry, każdemu pomaga co innego. Niektórym zaś niestety—nic nie pomaga! Podam więc kilka wyprobowanych francuskich przepisów na lotion do zwilżania miejsc zagrożonych piegami.

■

Lotion dla skór tłustych: Wody utlenionej 100gram. Wody zwykłej przegotowanej 100 gram. Esencji cytrynowej 1 gram.

Inny przepis dla skór tłustych: Wody różanej 100 gram. Tynktury benzoesowej 5 gram. Wody z kwiatu pomarańczowego 40 gram. Boraksu 10 gram.

Dla skór suchych: Wody utlenionej 30 gram. Wody różanej 70 gram. Wody z kwiatu pomarańczowego 70 gram. Gliceryny 40 gram.

■

...na chroniczne migreny, które nas trapią aż do obrzydzenia życia, ludowa medycyna zaleca picie przez czas dłuższy codziennie dwuch filiżanek naparu melisy i mięty pieprzowej. Brać łyżeczkę suszonej melisy, łyżeczkę mięty, zalać pół litrem wody wrzącej, przykryć, dać naciągnąć przez kwadrans. Pić jak zwykłą herbatę. Można nawet lekko osłodzić.

■

...wczesna wiosna — to najlepsza pora dla odświeżenia organizmu przez tak zwaną kurację brzozową, oczyszczającą krew, i znakomicie zwalczającą reumatyzm. Sok brzozowy pić należy na surowo, po szklance dziennie naczczo. Później, gdy ukażą się brzozowe liście, pić z nich napar, w zwykłej proporcji łyżeczki liści na szklankę wody wrzącej.

...Odmrożone ręce trzeba zaraz leczyć.

Okładać odmrożone miejsca rozgotowaną kaszą jaglaną gorącą. Zmieniać okłady gdy przestygną.

Dama Pikowa.

■

Kłopoty zimowe

Niedźwiedź do małżonki: „Czemu się złościsz? Brak ci czego?"

Niedźwiedzica: „Ja myślę! Chodzę jeszcze ciągle w zeszłorocznym futrze..."



Znakomite łyżwiarki odpoczywają podczas zawodów: Anna Niermberger, Belite Jepsen-Turer, Cecilia Colledge, Fegeritin, Audrey Peppy, Vivien Halten i Viktorie Lindpeintner



W wystawionej w teatrze Nowym w Warszawie sztuce „3—6—9" p. Marja Gorczyńska jak zwykle stworzyła ciekawą sylwetkę bohaterki, wyposażając ją we wszystkie walory swej techniki i urody

Wszystkie zdjęcia — J. Malarski

ŚWIAT TEATRU

Rozalja Chladek w Warszawie

Doborowa publiczność, rekrutująca się ze znawców sztuki tanecznej, a w szczególności z tych, którzy pamiętają p. Chladek w r. 1933 w czasie konkursu międzynarodowego, wypełniła widownię Teatru Wielkiego w ubiegły poniedziałek na występie tej sławnej artystki.

Program znakomicie dobrany w niewielu stosunkowo tańcach zobrazował całokształt wszystkich możliwości i umiejętności świetnej tancerki. I nie wiadomo było, co więcej podziwiać, autorkę, czy wykonawczynię. Bo naprawdę trudno zdecydować, co góruje w tańcach p. Chladek, czy piękna, przemyślana kompozycja, czy pierwszorzędna odtwórczość— gdyż tak jedno jak drugie jest doskonałe. Niektóre układy, tak były ścisłe w swej konstrukcji prawie matematycznej, że była to już najwyższa, „czysta" forma tańca; taniec wzniesiony na wyżyny samowystarczalności, bez potrzeby posiłkowania się innymi dziedzinami artystycznymi, jak mimika i programowość. Tego rodzaju tańcami były tańce perkusyjne, jak znany „taniec z drążkiem" z tamborino, przepiękna „intrada" tańczona przy akompanjamencie poloneza Es - dur Liszta, utwory Casellego. Z drugiej zaś strony nie można wyobrazić sobie lepszej odtwórczyni tych trudnych układów od ich autorki. Wśród wyznawczyń t. zw. „tańca wyzwolonego", wyróżnia się p. Chladek przepiękną techniką, która jest i winna być zawsze podstawą, na której można dopiero dowolnie budować.

P. Chladek potrafi również wysunąć na plan pierwszy, wielką skalę ekspresji i przeżyć. Miało to miejsce w I części koncertu. Na taki utwór kompozycyjny, jak „Joanna d'Arc" lub mitologiczny „Narcyz" zdobyć się może jedynie wielka artystka, obdarzona nieprzeciętnymi zdolnościami mimicznymi i darem utrzymywania kontaktu z widownią przez udzielenie jej swych przeżyć. A jakaż przytem różnica między tymi tańcami, a tańcami o tendencji literackiej, które wprowadziła szkoła niemiecka, pozbawiając taniec przyrodzonego mu pierwiastka ruchu i koniecznej techniki.

Na zakończenie ze wszechmiar udanego recital'u dała p. Chladek charakterystyczny taniec słowiański (muz. Weinbergera) pełen humoru, zalotności i temperamentu, który musiała bisować na żądanie rozentuzjazmowanej publiczności.

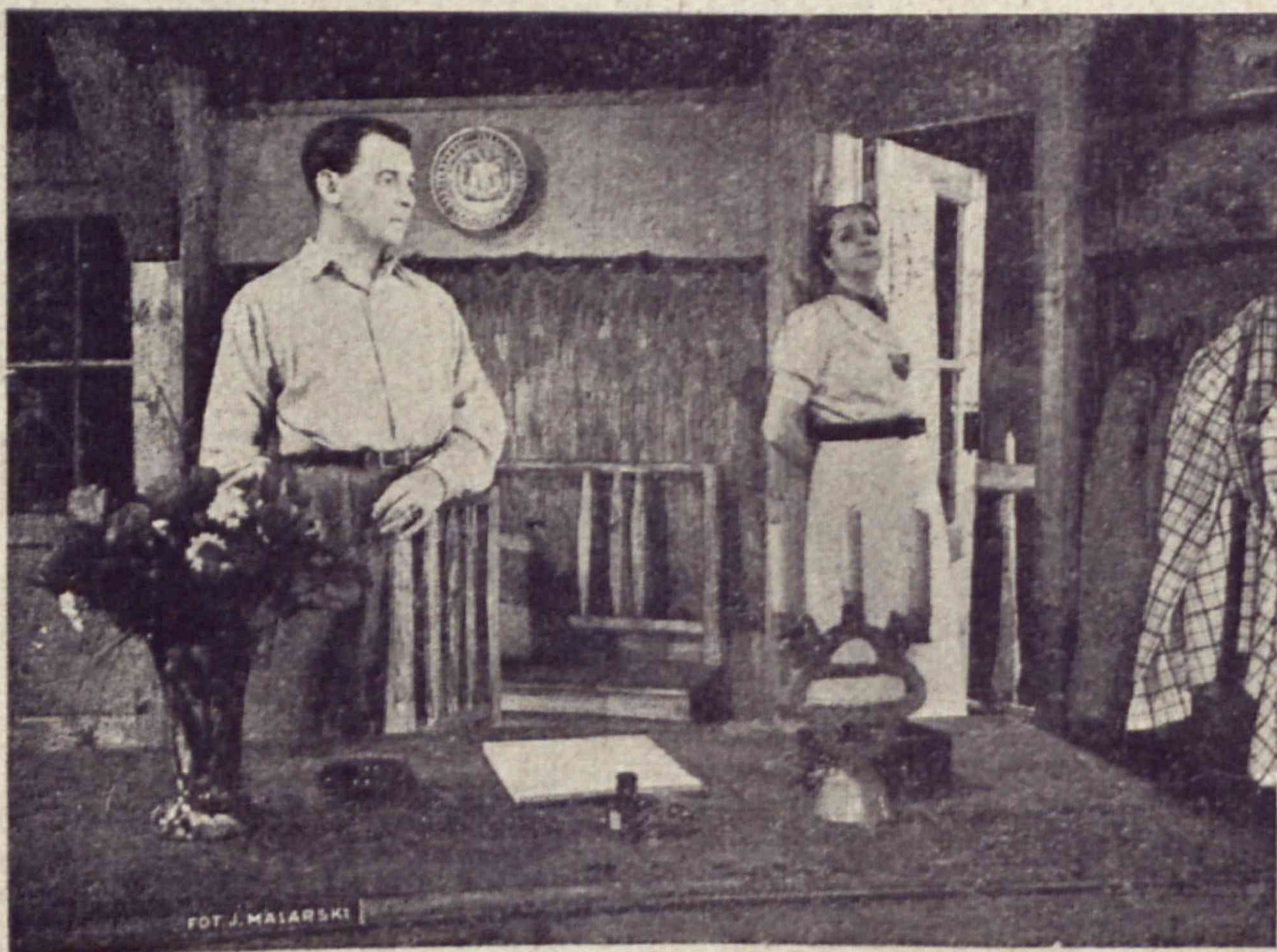
B. subtelnie akompanjował p. Artur Kleiner, który ponadto jest autorem ciekawej muzyki do omówionych wyżej utworów tanecznych „Joanny d'Arc" i „Narcyza".

Z. S.

Z Teatru Krakowskiego

W teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie wystawiono ostatnio komedję muzyczną Armant'a i Marchand'a p. t. „Krawiec w Zamku", W komedji tej wyróżnili się i duże powodzenie zdobyli: Mieczysław Węgrzyn oraz utalentowana śpiewaczka Janina Sokołowska, bawiąca w Krakowie na gościnnych występach.

Piękny głos, temperament i doskonała technika znanej stołecznej śpiewaczki zdobyły jej wstępnym bojem publiczność krakowską.



Osterwa i Gorczyńska



Osterwa, Wesołowski, Gorczyńska, w komedji „3—6—9"


WODA TOALETOWA Soir de Paris
BOURJOIS
PARIS
Jedyna w swoim rodzaju - niedościgniona!

PORADNIK KOSMETYCZNY PANI ZOJI

Profilaktyka i higjena to są podstawowe warunki, bez których niepodobna jest nie tylko zdobyć, ale i utrzymać piękny wygląd i urodę!

Uroda, tak samo jak zdrowie wymaga od nas nie tylko racjonalnej pielęgnacji lecz i racjonalnego, higjenicznego, planowego trybu życia.

Kobieta przemęczona pracą, zarówno nie może dobrze wyglądać, jak istota pozbawiona pracy, rozleniwiona nie mająca prawdziwych zainteresowań życiowych. Życie kobiety musi składać się z pracy wypoczynku i rozrywek.

Aby zdobyć ładną linję, lekkość ruchów, dobrą przemianę materji, czystość skóry, świeżość cery, blask oczu i dobry humor — należy dobrze rozplanować swój dzień! Plan dnia pięknej kobiety — nie może zamykać się na spędzaniu czasu przed lustrem w kawiarni i na dacingu.

Uroda nowoczesnej kobiety wymaga aby plan jej dnia zawierał kilka godzin poświęconych pracy, kilka godzin — wypoczynkowi i posiłkowi, nie mniej niż dwie godziny spacerom, sportom oraz gimnastyce, pozostały czas sprawom wyższych aspiracji i estetyce.

Plan dnia mający na celu zdobycie urody kobiecej uzależniony jest bezwzględnie od warunków, obowiązków i stanowiska kobiety.

W każdym jednak wypadku, pracując w ten lub inny sposób, zajmując te lub inne stanowisko, inteligentna kobieta musi: zadawać pracę swoim mięśniom i na ten cel należy przeznaczyć około 2-ch godzin; praca biurowa, domowa, nauczycielska lub artystyczna, wraz z pracą społeczną może zajmowć do 8 godzin, posiłki z wypoczynkiem około 4 godzin, 2 zaś godziny poświęcamy według upodobania — malarstwu, muzyce, lekturze, estetyce, oraz nie mniej niż 8 godzin na sen.

Rozleniwiona, próżna kobieta może być interesująca tylko na bardzo krótki okres. Nudzi ona nie tylko otoczenie lecz i siebie samą, wcześnie starzeje się, więdnie i brzydnie.

Kobieta pełna zainteresowań, żywa, ruchliwa,potrafi tak rozplanowć swój dzień, że nie zbraknie jej czasu na pracę, pielęgnację, rozrywki i sprawy estetyczne i taka kobieta będzie wiecznie młodą, pełną wdzięku i urody.

Dodatkowych wyjaśnień udziela Pani Zoja, Kierowniczka Salonów Kosmetycznych „Gracja" w godz. 12—14 i 18—19 przy ul. Wilczej 35.

SŁUCHAMY PŁYT

Rewję dzisiejszych płyt „Syreny" rozpoczyna dawno niesłyszany tenor Mieczysław Salecki dwiema piosenkami z operetek Kalmana, „Graj cyganie" i „Noc księżycowa". Kulturalny ten artysta umiejętnie moduluje swój bogaty głos, utrzymując całą płytę w ciepłej, metalicznej barwie, podkreślanej jeszcze przez doskonały akompanjament ork. Straszyńskiego.

„Słowik Warszawy" — Lucyna Szczepańska przypomniała nam starą piosnkę José Padilli „La Violetera". Czysty, świeży głos Lucyny Szczepańskiej dziwnie jasno i dźwięcznie brzmi na płycie. Stąd pewnie powodzenie jakim się cieszą wszystkie jej nagrania. Miałby może twórca Violetery pewne zastrzeżenie co do jej wykonania, możliwe, że Szczepańska zamało włożyła temperamentu w swoją kwiaciarkę, mimo to nam jej kwiaciarka najzupełniej wystarcza, a nawet powiem — bardzo się podoba i wznowienie tej pioseneki okazało się szczęśliwym pomysłem. Na odwrocie melodyjne tango z op. „Gaby" p. t. „Przyszła do mnie miłość".

Dla stałych bywalców Sim'u nie będzie pewnie rewelacją „Córeczko moja"—Olgi Kamieńskiej. Ale kto ją słyszy po raz pierwszy musi być ujęty wyjątkową ekspresją i słodyczą jej głosu. Rosyjski akcent i lekko przeciągane słowa—dodają mu jeszcze lekkości i wdzięku. Zasadniczym elementem nastrojowych piosenek jest zawsze tekst — traktowany u nas naogół po macoszemu. Dlatego zawsze z przyjemnością słuchamy jakichś mniej banalnych i ciekawszych słów. Tekst skomponowany dla Olgi Kamieńskiej przez Wrzosa i Jurandota (tango „Nie starczy ci sił" muz. Schmidsedera) poszedł trochę oryginalniejszymi drogami.

Wśród wykonawców „lżejszego repertuaru" — jak zwykle pełen werwy Aston śpiewa 2 piosenki z fil. „Będzie lepiej", starając się z fox-trott'a o tej samej nazwie wykrzesać maximum melodji, co jest zadaniem dość utrudnionym. Znacznie już lepszy jest slow-fox „Nie wiem co się ze mną stało", przynajmniej nadający się do tańca.

Główna atrakcja „Paradis'u", Wiera Gran, naśpiewała kilka piosenek sentymentalnych, przeważnie układu zdolnego, młodego kompozytora, St. Feraszko. Głos Wiery Gran nabrał dużo uczucia, jakby się jeszcze pogłębił i tylko niektóre tony brzmią nienaturalnie i niepewnie. Piosenki jak: „Gdy odejdziesz", „Bez śladu", „ Za rok, za dwa", znalazły w Wierze Gran doskonałą interpretatorkę. Słowa Stępienia, Lipińskiego i in. chwilami zupełnie niebanalne.

Z całego szeregu nagrań zagranicznych na pierwszym miejscu trzeba postawić „20 wiązankę" Ch. Kuntz'a. Wprawdzie w zeszłej recenzji omawialiśmy 21 wiązankę, ale ten zmieniony porządek rzeczy najzupełniej nie przeszkadza wiązance. Tym razem są to walce ang. i bostony z jednej strony, z drugiej slow-foxy już omawiane w recenzjach, jak np. „Would you" „A pretty girl is like a melody" etc. Dobrym pomysłem było wprowadzenie delikatnego akompanjamentu ksylofonu

NIE WOLNO SIĘ SPÓŹNIAĆ!...



W hotelu Patria w Krynicy odbył się konkurs piękności o tytuł „Miss Patria". Za najpiękniejsze z pośród grona uroczych pań uznano p. Stenię Malczewską i p. Marję Unrug — ogłaszając je jako „Miss i Vice-miss Patria".



Tych, którzy odkładali zaopatrzenie się w los do pierwszej klasy trzydziestej ósmej Loterji Państwowej na ostatnią chwilę, spotkała przykra niespodzianka: w bardzo wielu kolekturach losy zostały całkowicie wyprzedane i p. p. spóźnialscy nie mogli wziąć udziału w ciągnieniu.

Nie spóźnił się jednak naprzykład stały zwolennik gry loteryjnej.



Pan *Stanisław Kalinowski,* rzeźnik z zawodu, zamieszkały w Lublinie (ul. Dolna Panny Marii Nr. 41), który, do spółki z kolegą swoim, masarzem, p. Józefem K. oraz znajomym, Antonim Gajewskim, nabył ćwiartkę losu Nr. 96806. Na los ten padła w ostatnim dniu ciągnienia główna wygrana, 100.000 złotych.

Pozostałe ćwiartki tego numeru posiadali pp. Piotr Kubel, funkcjonarjusz więzienny, B. J. Simonówna, pracownica domowa, oboje z Lublina oraz pani J. K. zamieszkała w Warszawie.

W tymże samym ciągnieniu pięćdziesiąt tysięcy złotych wygrał numer 73833. Poszczególne jego ćwiartki nabyli mieszkańcy Wolbromia, Kołomyi, Sudziny i Równego.

Pozatem padło pięć wygranych dziennych po dwadzieścia tysięcy złotych oraz wiele innych, na ogólną sumę 1. 448.600 złotych.

Ciągnienie klasy drugiej rozpoczyna się 16-go bieżącego miesiąca, należy więc pamiętać o odnowieniu losu, by móc w tej klasie spróbować szczęścia.

NOEMI ESKUL

CIEŃ

(nowela)

Marcowe słońce uderzyło potężnie poprzez potrójne skrzydła szerokiego okna; młode i beztroskie napełniło pokój pstrem, hałaśliwem światłem i przedwiosennym niepokojem. Promienie załamywały się na okrągłym stole w szlifie szklanek, w blasku srebrnego nakrycia; a gdy któraś z osób, siedzących przy stole, poruszała łyżką, lub podnosiła do ust szklankę, tańczyły po gładkich, nieozdobnych blado - żółtych ścianach błazeńskie kręgi świetlne, zderzały się, fikały koziołki, spadały na jasno - brunatny blat kredensu, znów wspinały się wgórę po niewidzialnych stopniach, ślizgały się na samym środku sufitu.

Ci dwoje, którzy siedzieli przy stole w tej jasnej i wesołej jadalni, przysuwali sobie półmiski w milczeniu, skąpi w ruchach, a jeszcze bardziej w słowach. Twarz mężczyzny była szeroka, skupiona; jej surowość, świadomie wyrobiona, teraz trzymała się twarzy już siłą przyzwyczajenia. Twarz kobiety wzruszająca w swej chorobliwej bladości, przezroczysta, nietylko dlatego, że przez bardzo delikatną skórę przezierały niebieskie żyłki, ale jeszcze i w inny sposób — jakgdyby z poza maski udanego spokoju wyjrzało nagle inne, dotąd z trudem ukrywane oblicze.

Gdy on, po skończonym posiłku, sączył jeszcze powoli resztki ze swej szklanki, ona już składała swą serwetkę z drobiazgową dokładnością. Jej palce przesunęły się muskając po jedwabistej bieli serwetki, zatrzymały się obwodząc starannie każdą linję zawikłanego wzoru, tkanego w płótnie, w końcu rzuciła niedbale: „Doktór Richter prawdopodobnie zadzwoni do ciebie. Wzmiankował dziś o operacji."

On podniósł głowę i powiedział: to tak? Nozdrza mu nagle pobladły i odcięły się ostro od brunatnej skóry policzków „Więcej nic nie powiedział?" — „No nie, powiedział tylko, że nie przypuszcza nic złego, sądzi jednak, że lepiej jest krajać zaraz, póki to jeszcze nic nie jest." Wstała. — „Jestem bardzo zmęczona... Położę się chyba na chwilę", powiedziała stojąc już we drzwiach.

On pozostał na miejscu. Bezmyślnie wodził wzrokiem po swoich rękach, obracających nożyk owocowy, po talerzach i półmiskach, po resztkach potraw, które napełniały go teraz niesmakiem; nagle poczuł, że czoło jego w rozblasku promiennego dnia stało się lodowate, a przy tem pokryło się drobnemi kropelkami potu. — „A więc...", pomyślał — „A więc... a więc tak...". Zdawało się, że te trzy słówka wyparły wszystkie inne z jego świadomości w tych trzech przeraźliwych słówkach zamknęła się cała jego zdolność myślenia i mowy.— „Ireno!"— zdawało mu się, że zawołał głośno w śmiertelnej udręce, ale wargi jego zaledwie się poruszyły. A jednak drzwi się otworzyły i Irena jeszcze raz zajrzała do pokoju, już nawpół rozebrana. On spojrzał z bolesnem wzruszeniem na jej ramiona, które straciły swą dawną okrągłość. — „Erneście" — powiedziała — „bądź łaskaw, zajrzyj do dziecka, gdy się obudzi; panna Haber ma dzisiaj popołudniu wychodne, Hansi może się u mnie bawić aż do jej powrotu, dobrze?"

„Tak... oczywiście... z pewnością"... „Wstał. Jego zmiętoszona serwetka stoczyła się pod stół. Głowa była ciężka i ugniatała ramiona, ramiona ołowiem zwisały wzdłuż ciała, nogi załamywały się jakby pod nieznośnym ciężarem. A kiedy wreszcie przebył owe cztery kroki, które go dzieliły od drzwi, nikogo już nie było na progu. Przekroczył go i poszedł poprzez przedpokój aż do drzwi sypialni Ireny, cicho położył rękę na klamce, tak samo cicho cofnął ją, otworzył drzwi do przyległego pokoju i szepnął przerażonej pannience: „Pani zostaje dziś w domu, tak, trudno...", wziął kapelusz i palto z wieszaka, skradając się jak złodziej wyszedł na schody i bezszelestnie zamknął za sobą drzwi.

Schodził ze schodów powoli, krok za krokiem, jakgdyby chodziło o to, aby za wszelką cenę jeszcze trochę odwlec, ale na ulicy ogarnął go nagle gorączkowy niepokój. Prawie biegiem znalazł się na rogu, dopadł taksówki i rzucił szoferowi adres d-ra Richtera, który mu się teraz wydał naprawdę sędzią, więcej — nieubłaganym bogiem.

W drodze do lekarza, drodze długiej, a jednocześnie zbyt szybko przebytej, wiedział Ernest Vollrath już dokładnie, czego się dowie. A gdy siedział na małym twardym krzesełku naprzeciw doktora Richtera, jak żebrak z kapeluszem w obydwu rękach, i niedorzeczną nadzieją w sercu, że jednak nie usłyszy okrutnego wyroku, którego oczekiwał, — ucho nie chciało słyszeć prawdy, rozum nie chciał pojmować, serce nie chciało znieść. — „Panie, niech ominie mnie ten kielich", szepnął nagle w uroczystym języku swego pobożnego dzieciństwa. I wbrew własnej świadomości uciekł się z dziecinną, żarliwą, natarczywą, zupełnie niedorzeczną prośbą do tego, o którym niegdyś wiedział z całą pewnością, że jest wszechmocny.

Słowa lekarza, coprawda ostrożne, ale bardzo rzeczowe i w porównaniu z ich druzgocącą treścią potwornie skąpe, wyrwały Ernesta Vollratha z koła udręki, w którem zamknęła go walka nadziei i lęku. Prawda była zimna, trzeźwa i nieodwołalna. Ukorzył się przed nią. Włożył kapelusz obydwiema rękami, tak jak go trzymał, pożegnał się krótko mruknąwszy kilka zdawkowych grzeczności, i opuścił biały, niesamowicie biały i niesamowitą czystością błyszczący gabinet lekarski, miejsce zapasów życia i śmierci.

Kończył się właśnie pierwszy dzień przedwiosenny. Niebo było rozpięte — jak to bywa w marcu — wysoko i błękitnie, z wilgotnych pól szedł radosny wiatr na pokryty kurzem asfalt ulic. Ernest Vollrath nie poszedł w stronę domu, udał się w przeciwnym kierunku, pozornie bez celu. A choć sam się do tego nie przyznawał, wiedział dokładnie, dokąd zmierza. Pozostała teraz tylko jedna droga, którą dawniej nieraz przemierzał.

I już zaczynały się w staroświeckim stylu budowane domy arystokratycznej ongiś dzielnicy; na tle otaczającej zieleni dumnie występowały masywne, wsparte o kolumny portale, do których prowadziły szerokie schody.

Jak zawsze, gdy skręcał do tej ulicy, zachodził Ernest Vollrath do głowy po rozum, dlaczego Henry — właśnie Henry lubił przyprószoną pyłem pańskość, spłowiały blask tego starożytnego zakątka, że Henry ten duch niespokojny, ten wolny ptak, nie znający odpowiedzialności, gardzący wszelką tradycją już od lat mieszkał w jednym z tych domów, w którym poręcze schodów, szerokie, wymyślnie toczone i polerowane, przypominały stare patrycjuszowskie domy, stopnie zaś, skoro się tylko na nie wstępowało, trzeszczały i skrzypiały.

Od czasu, kiedy Ernest poraz ostatni stał w przedsionku, upłynął rok, myśl o owej bolesnej wyprawie, ołowiany ciężar przeżyć ostatniego roku legły mu na piersi i krtani, tak, że musiał się zatrzymać i zaczerpać tchu. A gdy wreszcie dźwignął

się z wysiłkiem i oparł nogę na następnym stopniu, złapał się na tem, że poważnie i bez przejęcia zastanawia się, czy też pod lekkiemi, drobnemi, lotnemi, stopami Ireny te schody tak samo skrzypiały jak teraz pod jego ważkim krokiem.

Oto ciężkie dębowe drzwi, na których gubi się prawie skromny szyldzik z nazwiskiem. Oto przedpokój z czterema drzeworytami o wąskich ramach — Londyn, Petersburg, Wenecja, Rzym — granatowa kotara, która oddziela gabinet od reszty mieszkania, — a oto i Henry; przyjaciel, uwielbiany od najmłodszych lat; od roku zaś gorzko znienawidzony. Był tu, siedział naprzeciwko z głową jak zwykle nieco odchyloną naprzód; długie wrażliwe dłonie złożył tak, by palce dotykały się wzajemnie, jak samodzielne istoty, w lekkiej i przelotnej pieszczocie. Ernest Vollrath patrzał na te ręce, stanowcze usta, długie rzęsy, promienne czoło, i naraz uświadomił sobie — a świadomość ta była prawie wyzwoleniem — dlaczego Irena tak bardzo kochała tego Henry, a jego, Ernesta już nigdy nie potrafi.

Słowo „nigdy", już „nigdy", które Ernest Vollrath przemyśliwał powoli i bardzo dokładnie, to najbardziej nieubłagane, niepojęte, to najbardziej nieludzkie ze wszystkich ludzkich słów, przerosło nagle związek, w którym zostało pierwotnie pomyślane, wyparło wszystkie inne, napęczniało i napełniło do ostatecznych granic przestrzeń, czas, świat... Po dłuższej chwili Henry zapytał:

„Źle?"

Ernest skinął potakująco.

„...złośliwy?"

Ernest Vollrath skinął powtórnie.

„Więc?..."

„Operacja. A potem — może rok. W najlepszym razie dwa. Może więcej, może mniej — —" Ernest Vollrath podniósł rękę i potem dał jej opaść bezwładnie.

Jakiś zegar zaczął przeciągle i z wysiłkiem wydzwaniać szóstą godzinę. Ernest Vollrath pomyślał: za rok, tego samego dnia o tej samej godzinie może Ireny już nie będzie. Poprostu nie będzie. Nie będzie jej uśmiechu, nie będzie jej włosów, jej łez, jej delikatnego dotyku. Nie będzie już więcej jej spojrzenia zukosa, z pod prawie przymkniętych powiek; zamkniętych wymownie jej rąk, znikną małe gesty tęsknoty, godnosc i ipokory, oporu i rezygnacji, ach, ten jeden nieznaczny, drżący ruch, który od roku stał się jej nawykiem.

W tej chwili nie czuł w sobie ani odrobiny odwagi, która płynęła z jego postawy nieugiętej i wzorowej, która pozwoliła mu wtedy oderwać Irenę od Henry'ego i przemocą zatrzymać przy sobie, gdzieś się podziała owa twardość, która kierowała nim, gdy trzymał ją zdala od dziecka, gdy groził jej, aż się poddała; znikła pewność siebie, z którą, kierując się własną sprawiedliwością, rozstrzygnął za nią jej los. Wiedział tylko już jedno: minie niewiele dni, tygodni, miesięcy — i Ireny nie będzie. Z poza wszystkiego wyłaniała się śmierć. Jej cień dosięgał Ernesta Vollratha, i od tego muśnięcia jego spokojna pewność, ugruntowana na dobrych zasadach rozsypała się w proch, niby garść suchej ziemi. Jakże może człowiek—z wysiłkiem i poomacku szedł on nieznaną sobie dotąd ścieżką myśl—jak może człowiek, mając pole widzenia tak ograniczone, a wiedzę tak ułamkową, chcieć wtłoczyć życie innego człowieka w te lub inne tory, kierując się pozornie mądrą rozwagą, a jutro, już może jutro — nadejdzie śmierć. Cień od niej padający uderzył jego świadomość, jak uderza światło błyskawicy wśród nocy; w tym nagłym, bardzo mocnym i bardzo jasnym świetle ujrzał on tych zbyt zadowolonych z własnej doskonałości, mądrości i dobroci, jako potworną karykaturę boskości. Przymknął oczy, ale upiorny obraz pozostał.

W przedpokoju w łagodnym świetle żółto-ocienionej lampy, podczas, gdy nakładł płaszcz, poczuł się Ernest Vollarth nieco raźniej na tej nowej drodze ducha, na którą wstąpił. „Słuchaj", powiedział— i wpadło mu na myśl, że poraz drugi tego dnia stoi jak żebrak z kapeluszem w obydwu rękach—„Henry... com ci powiedział tutaj przed rokiem... wtedy... to już nie ważne. To jest — — to już nic nie jest"... Odwrócił się do wyjścia. „Irena zawsze marzyła o podróży", mówił dalej z twarzą zwróconą do drzwi, — więc jeśli jeszcze pragnie... jeśli po operacji..."

Ernest Vollrath ujrzał nagle tuż przed sobą, w bolesnej bliskości, prawie dotykalnie, ręce żony, ramiona, usta, wysoko wzniesione brwi. — — Na jedną króciutką chwilę — na tak długą właśnie, ile trwa głębokie zaczerpnięcie tchu, nowa gorąca tkliwość cofnęła się przed dawnem gniewnem pożądaniem. Potem odezwał się jeszcze raz, nieco głośniej: „Jak zechce".

W przeraźliwej bliskości, tak, jakgdyby sam je wymawiał, usłyszał teraz słowa Henry: „...tak... obawiam się jednak... Erneście, obawiam się... po wszystkiem... ona ci już nigdy nie powie, czego naprawdę pragnie..."

Już we drzwiach Ernest odwrócił się jeszcze raz gwałtownym ruchem; z ust jego wydobył się obcy głos — w zdumieniu prawie słuchał własnych słów:

„A — może tobie?"

Ten człowiek, który pozostał z tamtej strony zamkniętych drzwi, oparł się o ścianę, gdzieś między Petersburgiem, a Wenecją i zacisnąwszy usta nasłuchiwał, jak ten drugi z trudem dysząc, poomacku schodził po mrocznych schodach. Nagle wydało mu się, że usłyszał jeszcze jakiś dźwięk, — a może był to tylko ciężki oddech? — Gwałtownie otworzył drzwi wybiegł za nie, nasłuchiwał, — ale usłyszał tylko: trzeszczą schody...

(Autoryzowany przekład z niemieckiego).

W. B



Koń „Wojownik" i pies „Błysk" w filmie R. K. O. „Radio" „Dzikie ścieżki"

„Zakochane kobiety" } Imperial

Nazwiska czterech gwiazd ekranu na jednym afiszu muszą zelektryzować każdego bywalca kinowego. Już sam ten fakt zapowiada pewną nowość, odejście od utartego szablonu filmów miłosnych, gdzie przeżycia dwojga głównych bohaterów stanowią ów trzon, dokoła którego rozgrywają się uboczne — mniej lub więcej ważne — zdarzenia.

Przeróbka filmowa sztuki Bus - Feketego p. t. „Dziewczęta i oni" była szczęśliwym posunięciem wytwórni Foxa. Nie jest to pierwsza próba związania treści filmu nie z osobami działającymi na pierwszym planie lecz z jednością miejsca. Widzieliśmy udatną przeróbkę filmową „Ludzi w hotelu", obserwujemy pewną dążność nowej literatury do zamykania w ramach jednego zdarzenia całokształtu życia, że wymienię „Przejazd" Giny Kauss względnie „Jutro o dziewiątej".

Inteligentny reżyser Foxa E. Griffith potrafił dzieje trzech kobiet, złączonych przypadkowym zamieszkaniem w jednym apartamencie nowoczesnej dzielnicy Budapesztu, pokazać w sposób interesujący, subtelnie uwydatnić ich różnice usposobień, zaciekawić niecodziennymi przeżyciami.

Zresztą—samodzielnie dążące do szczęścia kobiety nie utrudniały mu zadania.

Znakomita gra, różnice duchowe i fizyczne czterech gwiazd i ich aktorskie ambicje, stwarzają z filmu widowisko ciekawe, niepozbawione swoistego wdzięku i uroku.

W koncertowym zespole artystów trudno przyznać komukolwiek palmę pierwszeństwa. Elegancka, pełna uroku i dziewczęcego naiwnego optymizmu Loretta Young tworzyła czarującą parę z partnerem swym, bezpośrednim i miłym Paul Lucasem. Duet ten miał tyle ciepła i prawdziwego przywiązania, że aż odczuwamy żal do autora, że nie pozwolił im zakończyć tego filmu szablonowym happy endem. Film straciłby może na tym rozwiązaniu, ale czasem milszy jest banalny romans niż cierpki posmak smutnej prawdy. Constance Bennet, której plany życiowe przekreślił również przypadek, miała w swej roli dużo wewnętrznego tragizmu i zrozumienia dojrzałej kobiety. Janet Gaynor, czarujący kopciuszek, szła przez życie z rezygnacją i poświęceniem, za co los uśmiechnął się jej prostym, codziennym szczęściem. Simone Simon jako zdobywczy podlotek miała więcej szczęścia, niżby zasługiwała na to jej łatwa, krótka rola, z którą tak jak ze wszystkimi i jej dotychczasowymi postaciami filmowymi było małej francuzeczce bardzo do twarzy.

Role męskie obsadzone bardzo trafnie i zagrane strannie akompaniowały zgranym chórem dzielnym wyczynom damskiego kwartetu.

Dekoracje i tło pomysłowe i dyskretne, podkład muzyczny skromny, lecz melodyjny, żwawe tempo i interesujący scenariusz winny zapewnić „Zakochanym kobietom" sympatię publiczności.

J.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzednim porozumieniu się z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamowionych redakcja nie zwraca**

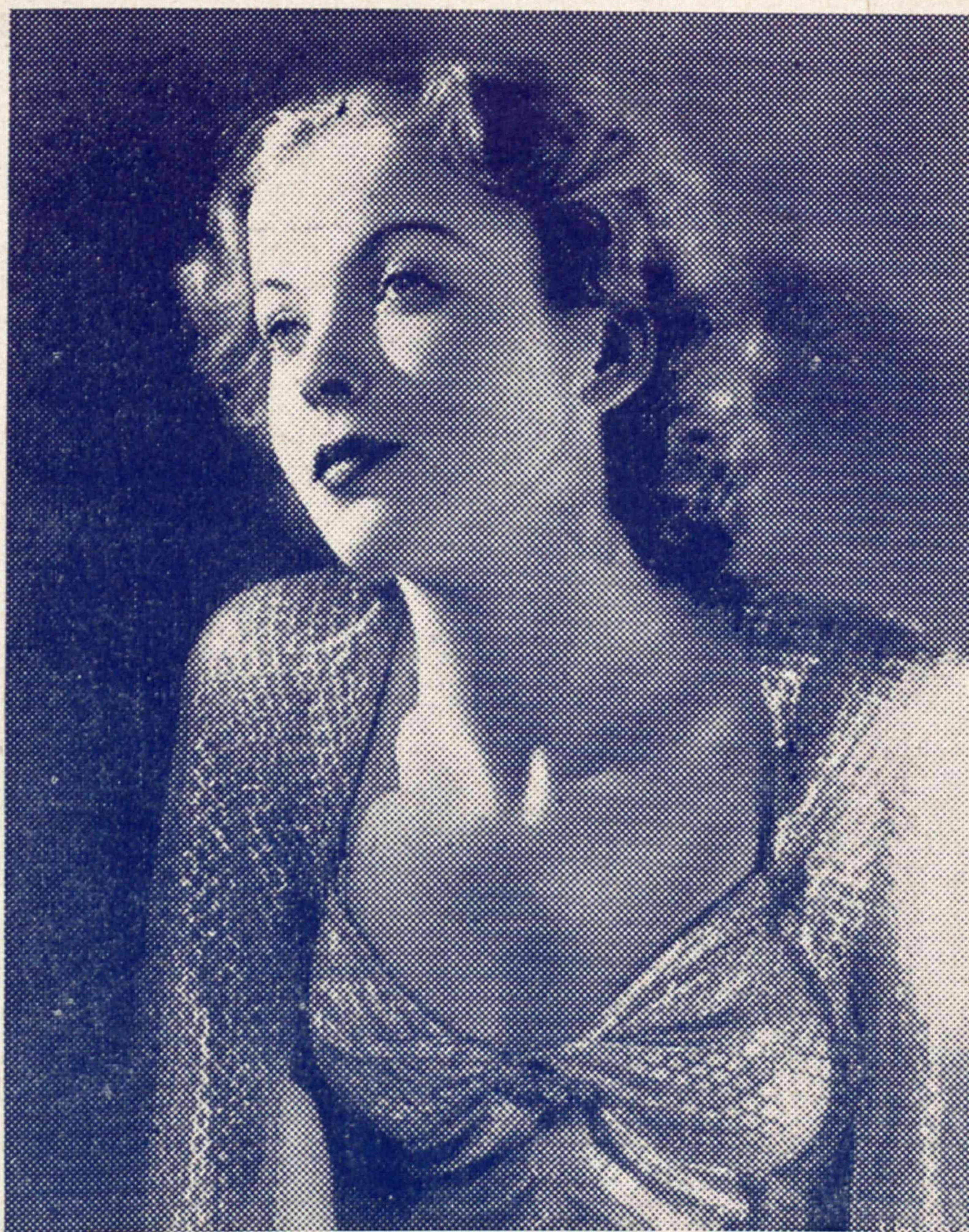
„Allotria" Studio

Komedie niemieckie, jak zresztą i większość innych filmów produkowanych u naszego „najbliższego" sąsiada, cechuje naogół ogromna standartowość, większa nawet niż w produkcji amerykańskiej. Mniejsze możliwości techniczne, mniejsza rutyna produkcji przy dość ciężkim niemieckim humorze nie dozwala producentom berlińskim na wzniesienie się ponad poprawną przeciętność. Dodajmy do tego, że film niemiecki rozporządza niezbyt liczną rzeszą aktorów i aktorek słabo naogół przygotowanych do gry przed objektywem i o niezbyt pociągającej powierzchowności. Przy pewnej monopolizacji produkcji i braku poważnej, rzetelnej walki konkurencyjnej, przyszłość filmu niemieckiego przedstawia się conajmniej czarno.

Na tle tego pesymistycznego wstępu recenzja z filmu „Allotria" może wyglądać nieszczerze. Bo jakże? Po nieprzychylnym ustosunkowaniu się do produkcji niemieckiej, jeden z owoców tejże wytwórczości przyjdzie pochwalić.

„Allotria" nie jest „perłą na śmietniku". Obarczona organicznymi wadami filmu niemieckiego, posiada jednak swój własny wyraz, który zawdzięcza bodaj że jedynie zdolnościom reżyserskim Willy Forsta. Twórca „Maskarady" przemienił dość szablonową komedię w zabawne, przyjemne widowisko sposobem nieuchwytnym. Trudno jest zdefiniować dlaczego mimo, że w „Allotrii" widzimy dużo banału, dużo znanych, ogranych na wszystkie boki sytuacji, gra aktorów poza jedyną Renatą Müller stoi na poziomie prymitywu, to jednak film jest bardzo przyjemny, lekki, wesoły — udany.

Przeszarżowana, prymitywna gra niezbyt urodziwych aktorów nie razi ba, nawet w niezrozumiały sposób stapia się w banalnych scenach w znakomite sytuacje. Widziane wielokrotnie kombinacje nie nużą, lecz bawią.



Ida Lupino, gwiazda R. K. O. Radio

Przyznaję się szczerze, że nie rozumiem, dlaczego cała widownia, nie wyłączając niżej podpisanego, bawi się świetnie. Nie potrafię tego wyjaśnić, a jednak tak jest. Niedociągnięcia techniczne, zbędne szczegóły nie rażą, nie nużą, pozwalają się nie zauważyć, przyczem całość zabawnych perypetii, nieobciążona balastem, przewija się w doskonałym tempie przed oczami widza.

Akcja żywa i barwna plącze się za sprawą reżysera i scenarzysty w liczne, nieoczekiwane sploty nieporozumień zabawnych, często naiwnych, a jednak prawdopodobnych. Dziwne sytuacje mnożą się nieustannie, zmieniają w kalejdoskopie nieprzewidzianych wydarzeń, rodzą nowe zabawne komplikacje i nieporozumienia. Chochlik zamieszania, uwidoczniony w tytule, (greckie allotria—zamieszanie) płata złośliwe figle, stwarza ciekawe sytuacje, aby ulec wreszcie w szczęśliwym happy end'zie.

Nadprogram barwna kreskówka M. G. M. „Wesoły piknik", tygodnik Pata i udany reportaż tegoż Pata „Z biegiem Czeremoszu".

J.

ŚWIAT FILMU

Gimnastyka i sport upiększają kobiety

Johnny Weismüller, znakomity sportowiec, bohater filmu „Ucieczka Tarzana", w którym obok niego występuje Maureen O'Sullivan, napisał artykuł, który — dzięki uprzejmości słynnego sportowca i aktora — zamieszczamy poniżej.

Dziewczęta Hollywoodu są coraz ładniejsze. I to dlatego, że są coraz bardziej wysportowane.

Gdy spoglądam na zdrowe, dobrze zbudowane o elastycznym kroku dziewczęta — rad jestem, że nareszcie społeczeństwo zdaje sobie sprawę z doniosłości sportu. Niedawno, przy nakręcaniu filmu „Ucieczka Tarzana" miała Maureen O'Sullivan, uchwyciwszy się liny, przeskoczyć dość znaczną przestrzeń.

Przy scenie tej obecna była jedna starsza pani, która wyraziła zdziwienie, że tak wątła kobieta jak Maureen podejmuje się tak „ryzykownych imprez". Do pewnego stopnia uwaga tej pani nie była pozbawiona słuszności. Maureen O'Sullivan wygląda wątło, ale z drugiej strony jest znakomicie wysportowana i doskonale sobie daje radę z wymogami scenarjusza. Przyznać trzeba, że O'Sullivan jako partnerka jest nietylko miła, ale poprostu imponuje mi często doskonałą sprawnością fizyczną.

Wogóle Maureen O'Sullivan podołała tak wielu trudnościom w związku z filmem „Ucieczka Tarzana" — że uważam ją za jedną z najlepszych sportsmenek Hollywoodu. Doskonale pływa, uprawia tenis i lekkoatletykę. O ile mi wiadomo, nasze gwiazdy — wszystkie chyba — uprawiają sporty, czyniąc to w równej mierze dla przyjemności, jak i dla zasady, że sport i gimnastyka upiększają kobiety.

Joan Crawford tańczy, uprawia tenis, pływa i ćwiczy od lat. Kiedyś opowiadała mi, że bez sportu czułaby się bezsprzecznie źle. Ja osobiście jestem przekonany, że swą piękną sylwetkę zawdzięcza Joan właśnie uprawianiu sportów.

Jeanette Mac Donald uprawia tenis i gimnastykę. Eleanor Powell dostatecznie dużo ćwiczy przy tańcu. Niezależnie jednak od tego z zapałem grywa w golfa i rzuca dyskiem.



Bobby Breen, najmłodszy śpiewak ekranu w filmie — „Rainbow on the River" wytw. R. K. O. Radio.

Doskonale pływają Jean Harlow, Myrna Loy, Virginia Bruce, Rosalind Russel. Norma Shearer świetnie jeździ konno, dopiero ostatnio przerwała codzienne wycieczki na rzecz zwykłej gimnastyki. Podałem tych parę przykładów, by przekonać Was, że sport i gimnastyka doskonale wpływają na samopoczucie i upiększają, czego najlepszym przykładem jest właśnie fakt, iż najpiękniejsze kobiety Ameryki tak pilnie ćwiczą i uprawiają sporty.

Nie jestem specjalnym znawcą urody kobiecej, ale stanowczo dziewczęta Holywoodu są coraz piękniejsze — i to tylko dzięki sportom!

Pani Walewska — na ekranie

Metro - Goldwyn - Mayer czyni obecnie starania, by zakupić powóz, którym jeździł Napoleon z panią Walewską. Powóz ten będzie użyty w filmie „Pani Walewska", w którym główne role kreować będą Greta Garbo i Charles Boyer.

Scenarjusz oparty jest na powieści Gąsiorowskiego „Pani Walewska", w związku z czym czyniono ostatnio w Warszawie poszukiwania w celu zebrania pamiątek po Bonapartym i pani Walewskiej.

Akcja filmu rozgrywać się będzie w dużej mierze w Warszawie z czasów napoleońskich.

Reżyserować będzie Clarence Brown.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. W. Łazarski, Dzierż. Spółdz. „SPÓJNIA", Żelazna 58a.